TRZEŹWOŚĆ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI Z ALKOHOLIZMEM I ODRODZENIA NARODU, ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ", ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW, KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW i WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM i INNYMI NAŁOGAMI „MENS".

Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr. 5 — M A J — 1935 — Rok X

Przedruk artykułów bez zezwolenia Redakcji wzbroniony.

Orędzie P. Prezydenta Rzeczypospolitej

Do Obywateli Rzeczypospolitej!

Marszałek Józef Piłsudski życie zakończył.

Wielkim trudem swego życia budował siłę w narodzie.

Genjuszem umysłu, twardym wysiłkiem woli państwo wskrzesił. Prowadził je ku odrodzeniu mocy własnej, ku wyzwoleniu sił, na których przyszłe losy Polski się oprą.

Za ogrom Jego pracy dane Mu było oglądać państwo nasze jako twór do życia zdolny, do życia przygotowany a armję naszą — sławą zwycięskich sztandarów okrytą.

Ten największy na przestrzeni całej naszej historji Człowiek z głębi dziejów minionych moc swego ducha czerpał, a nadludzkiem wytężeniem myśli drogi przyszłe odgadywał.

Nie siebie tam już widział, bo dawno odczuwał, że siły Jego fizyczne ostatnie posunięcia znaczą.

Szukał i do samodzielnej pracy zaprawiał ludzi, na których ciężar odpowiedzialności skolei miałby spocząć.

Przekazał narodowi dziedzictwo myśli o honor i potęgę państwa dbałej.

Ten Jego testament nam żyjącym przekazany przyjąć i dźwignąć mamy.

Niech żałoba i ból pogłębia w nas zrozumienie naszej — całego narodu — odpowiedzialności przed Jego duchem i przed przyszłemi pokoleniami.

Prezydent Rzeczypospolitej

I. MOŚCICKI.

Warszawa — Zamek, dnia 12 maja 1935 r.

MOWA P. PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ.

Dn. 18.V. 1935 podczas pogrzebu ś. p. Marszałka Piłsudskiego.

Przed wejściem do katedry na Wawelu Pan Prezydent Rzeczypospolitej wygłosił następujące przemówienie:

„Cieniom królewskim przybył towarzysz wiecznego snu. Skroni jego nie okala korona, a dłoń nie dzierży berła. A królem był serc i władcą woli naszej. Półwiekowym trudem swego życia brał we władanie serce po sercu, duszę po duszy, aż pod purpurę królestwa swego ducha zagarnął niepodzielnie całą Polskę.

Śmiałością swej myśli, odwagą zamierzeń, potęgą czynów z niewolnych rąk kajdany zrzucił, bezbronnym miecz wykuł, granice nim wyrąbał, a sztandary naszych pułków sławą uwieńczył.

Skażonych niewolą nauczył honoru bronić, wiarę we własne siły wskrzeszać, dumne marzenia z orlich szlaków na ziemię sprowadzać i w twardą rzeczywistość zamieniać.

Dał Polsce wolność, granice, moc i szacunek.

Czynami swemi budził u wszystkich po wszystkie krańce Polski iskry tęsknot do wielkości.

A miljony tych iskier z miljonów serc wracały rozżarzone miłością do Tego, który je wskrzeszał, aż stał się On jasnością, spływającą na całą naszą ziemię, i płomieniem, wytapiającym kruszec bezcenny, który w skarbcu narodowym naszych wartości moralnych pozostanie odtąd na wieki.

Wielkie dziedzictwo pozostawił w spadku po sobie ten potężny władca serc i dusz polskich.

Cześć, jaką otaczaliśmy Józefa Piłsudskiego za Jego życia, wzmaga się dziś i potężnieć będzie w Polsce z godziny na godzinę coraz stokrotniej.

Niech hołdy, dziś prochom wielkiego Polaka składane, zamienią się w śluby dochowania wierności dla Jego myśli w daleką przyszłość przenikających. Niech przekują się w obowiązek strzeżenia dumy i honoru narodu. Niech wole nasze do twardej pracy i walki z trudnościami zaprawią, a serca nasze wielką Jego dla ojczyzny miłością rozpalą.

U bram domostw naszych postawmy warty, byśmy bezcennego kruszcu cnót przez Niego pozostawionych nie uszczuplili, niczego z wielkiego po Nim dziedzictwa nie uronili, byśmy duchowi Jego, troską za życia o losy Polski umęczonemu, spokój w wieczności dali".

Uczestnicząc serdecznie w powszechnej ciężkiej żałobie społeczeństwa — Zarząd Główny Tow. *„Trzeźwość"* urządził dn. 20 maja Uroczystość żałobną, poświęconą pamięci Pierwszego Marszałka Polski. Zagaił obchód Wiceprezes Z. Gł. p. sen. *Aleksander Iżycki*, odczytując Orędzie P. Prezydenta Rzeczypospolitej i podnosząc w krótkich słowach znaczenie życia, pracy i wskazań Wielkiego Zmarłego, jako wychowawcy narodu, pouczającego, jak należy utrwalać byt Niepodległego Państwa ciągłą, nieustanną pracą.

Następnie przemawiał p. *Dr. Wiktor Borkowski*, którego przemówienie podajemy poniżej.

Na wniosek p. Sen. *A. Iżyckiego*, zgłoszony w im. Zarządu Gł. Tow. „Trzeźwość", zebrani jednomyślnie uchwalili wysłanie następującego telegramu:

Pan Premjer Walery Sławek

Prezydjum Rady Ministrów

WARSZAWA

Zgromadzeni na specjalnem zebraniu poświęconem złożeniu hołdu Pamięci Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, członkowie i sympatycy Tow. „Trzeźwość" ślubują uroczyście prowadzić nadal wytężoną pracę dla dobra narodu i Państwa w myśl wielkich wskazań Twórcy Odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej.

Zarząd Główny:

Kalinowski, Iżycki, Szymański, Herwich, ks. prałat Balul, Kępska, Herwichowa, doc. dr. Szulc, dr. Borkowski, Surmacka, Zaniewicz.

Uroczystość rozpoczęła orkiestra Mokotowskiego Koła „Trzeźwości" odegraniem Hymnu Narodowego i Pierwszej Brygady. Po przemówieniach p. Maksymiljan Herwich odegrał marsz żałobny Chopina i p. Henryk Szatkowski wygłosił melodeklamacje.

Piękną artystyczną dekorację portretu ś. p. Marszałka Piłsudskiego wykonał artysta malarz p. Czesław Kaczmarczyk.

Niezwykle licznie zebrana publiczność, która po brzegi wypełniła salę, w wielkiem skupieniu i ze wzruszeniem wysłuchała głęboko odczutych przemówień i na wysokim artystycznym poziomie stojących produkcyj p.p. Herwicha i Szatkowskiego.

W Krakowie. Na ręce p. Wojewody Krakowskiego kondolencję złożył Prezes Zarządu Gł. Tow. „Trzeźwość" p. Kazimierz Kalinowski (zarazem przewodniczący Krakowskiego Oddziału) — i reprezentował naczelne Władze organizacji w uroczystościach żałobnych w Krakowie.

Kondolencja. P. Dr. R. Hercod, Dyrektor Międzynarodowego Biura do walki z alkoholizmem w Lozannie, nadesłał do Redakcji „Trzeźwości" pismo:

„Wyrażam swój serdeczny udział w polskiej żałobie narodowej. Marszałek Piłsudski był wielkim Polakiem i jedną z najwybitniejszych postaci epoki powojennej. Stoi mi w pamięci przyjazne przyjęcie, jakiego doznałem od ś. p. Marszałka Piłsudskiego w r. 1920".

PRZEMÓWIENIE DR. WIKTORA BORKOWSKIEGO.

„SERCE — MATCE, MÓZG — NAUCE, CIAŁO — OJCZYŹNIE"—tę część testamentu, dotyczącą Zwłok doczesnych Człowieka, którego upodobał sobie Pan Bóg i naznaczył czoło Jego stygmatem wielkości i kazał Mu spełnić posłannictwo w Narodzie naszym" [1]) wykonaliśmy we łzach, w bólu i w odrętwieniu. Nie czekajmy jednak aż łzy nasze oschną, ból ustąpi i odrętwienie minie, by przystąpić do wykonania części testamentu, pisanego Jego życiem, Czynem i Słowem.

Prowadźmy dalej „walkę" — Ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego — *„o szacunek dla tego, co zowią imponderabilia, jak cnota, jak męstwo i wogóle siły wewnętrzne człowieka"* [2]).

Bądźmy ofiarnie uspołecznieni jak doskonały typ żołnierza wychowany przez Marszałka.

„Jeżeli porównamy wszystkie fachy i wszystkie zajęcia, które ludzie wykonywują, jeżeli porównamy wszystkie prawdy o pewnej jakiejś wartości człowieka w wykonywaniu jego pracy, to jest jedna prawda, która żołnierza najwyżej stawia, jest jeden fakt niezaprzeczony, który się rzuca w oczy, a który tak trudno się przyjmuje, że żołnierz jest tą istotą, która musi żyć i umierać nie dla siebie, a dla innych".

„Więc umiera on dla czegoś, umiera dla kogoś i żyć musi inaczej niż inni, i czynić to musi także dla kogoś, także dla czegoś. Nie jest to w niczem współmierna praca i współmierne życie z innymi współobywatelami. Żołnierz żyje i walczy dla wszystkich, podczas gdy wszyscy inni walczą o swoje jedynie interesy. Jest coś, co duszę żołnierską, gdy jest prawdziwa, podnosi, coś, co go czyni piękniejszym wewnętrznie od innych, co łączy wszystkich żołnierzy w jedno — to jest symbol i emblemat narodowy. Kto z naszych współobywateli dla symbolu i emblematu umierać zechce?".

„Jest coś wyższego, niż wszystkie ludzkie rachunki, jest coś, co jest wyższe nad poziom powszedni. Moi Panowie, gdy żołnierz straci szacunek zarówno dla tych emblematów, jak i tego, co jest wyższe, co go wyżej stawia od innych, gdy piękności wewnętrznej nie ma — boję się o naród taki, gdy próba wojenna wypadnie" [3]).

Wnośmy do naszej pracy społecznej owe pierwiastki żołnierskie, które w nas tlą jeszcze od czasów naszej zbrojnej służby Ojczyźnie, a mianowicie:

1) SAMOZAPARCIE. „Wszędzie, gdzie w długich wojnach i wielkich trudach żołnierskich pracował człowiek, wszędzie daje on narodowi nowy nabytek kulturalny. Typ człowieka, przechodzącego łatwo nad materjalnemi wartościami życia, przenoszącego ponad nie wartości moralne. Typ czołwieka, znoszącego łatwo zmienność losu, byle miał możność zachowania najlepszej cząstki swej duszy — szacunku dla siebie i szacunku dla swego honoru. Uczciwa praca na najskromniejszych stanowiskach, stałe poszukiwanie zgody ze swojem sumieniem, jest jego cechą, nabytą w codziennem brataniu się ze śmiercią" [3]).

---

[1]) Przemówienie Ks. biskupa Gawliny nad trumną.

[2]) Wywiad z dnia 12 maja 1926 r.

[3]) „O źródłach klęsk Rzeczypospolitej".

2) HONOR. „W pracy pokojowej zamienia honor sztandaru — na honor swej pracy, na honor swej nowej służby, dla której wymaga szacunku, jako części głównej siebie samego“ [4]).

„Honor — to bóg wojska, który niesie nakaz i ma taką siłę uderzenia, że śmierć wywołuje. Strzeżcie się, panowie demokraci, go naruszać! Ostatni cement pęka, ostatnia więź pęka! Honor jest potęgą. I wszystkie złączone z nim zwyczaje, — śmieszności nawet, są upiększeniem życia helotów demokracji, dzieci nakazu, — żołnierzy i ich wodzów“ [5]).

3) KARNOŚĆ. „Idzie o to, aby kraj nasz zrozumiał, że swoboda to nie jest kaprys, że swoboda to nie jest „mnie wszystko wolno, a drugiemu nic“, że swoboda, jeśli ma być siłą, musi jednoczyć, musi łączyć, musi rękę sąsiadom i przeciwnikom podawać, musi umieć godzić sprzeczności, a nie tylko przy swojem się upierać“ [6]).

„Dowodzenie ma tę dziwną tajemnicę, że sięga niezmiernie głęboko w duszę podwładnego i ma tak silne panowanie, jakiego świat nie zna większego. To też zasadą duszy musi być: duszę bierzesz — duszę daj“ [7]).

„Panie Prezydencie! Jako jedyny oficer polski służby czynnej, który dotąd nigdy przed nikim nie stawał na baczność, staję oto na baczność przed Polską, którą Ty reprezentujesz!“ [8]).

4) SIŁĘ WEWNĘTRZNĄ. „Nienawidziłem zawsze słabości, która upiększać się chce pustymi dźwiękami słów bez treści“ [7]).

„Wszyscy apostołowie czegokolwiek nowego, wszyscy reformatorzy życia, wszyscy odkrywcy muszą mieć wewnętrzną siłę, która im pozwala być tymi nowatorami wbrew oporowi otoczenia. Pierwszą więc ich cechą jest umiejętność wydobycia z siebie wysiłków większych, niż przeciętne wysiłki człowieka, większej niż przeciętna, energji. Bez tej niezwykłej energji i nieprzeciętnego wysiłku niepodobna przepchać się przez zwarty tłum uprzedzeń i niechęci do rzeczy nowych“ [4]).

5) DZIELNOŚĆ. „Zawód żołnierski wytwarza specjalny stosunek do zjawiska śmierci. Umierają coprawda wszyscy ludzie. Ale gdy żołnierz idzie na śmierć, to znaczy, że śmierć bierze pod rękę i chodzi z nią po polach bitewnych. Śmierć i poczucie śmierci otaczają wciąż żołnierza. Śmierć jest dla niego zjawiskiem stałem, codziennem“ [4]).

„To codzienne, zgodne z obowiązkiem żołnierza chodzenie na śmierć, ten wysiłek nawyknięcia do niej, to bratanie się z śmiercią, wyciska w duszy głębokie ślady“ [4]).

6) OBOWIĄZKOWOŚĆ. „Wreszcie jeszcze jeden znamienny rys dobrego żołnierza. Spełnia on twardy obowiązek, wykonując pracę, nieraz bardzo podrzędną“ [4]).

7) SZACUNEK DLA PRZEŁOŻONYCH. „żąda jednak bardzo twardo szacunku dla siebie, szacunku dla swej pracy i szacunku dla

---

[4]) „O wartości żołnierza Legjonów“.

[5]) „Demokracja a wojsko“.

[6]) Przemówienie w Lublinie w dniu 11.I. 1920 r.

[7]) „O dowodzeniu w czasie wojny“.

[8]) Przemówienie z okazji przekazania władzy Prezydentowi Narutowiczowi.

swego dowódcy. Cechą wszystkich dobrych żołnierzy jest to, że swych wodzów, prowadzących ich do zwycięstw, kochają i wymagają dla nich czci" [4]).

8) ODWAGA PRZEKONAŃ I NIEUGIĘTOŚĆ W OSIĄGANIU CELÓW. „Gdy się myśli o innych prawdach, trzeba przyjść do przekonania, że dla nowej myśli trzeba mieć odwagę, trzeba przeskoczyć przeciętną prawdę, wyznawaną przez ludzi. Napoleon mówił, że, by złamać przeszkody, nie trzeba ich uważać za przeszkody. Ten prosty sposób stanowił podstawę odwagi myśli i my, stając się nowatorami, znaleźliśmy może odwagę myśli i powiedzieliśmy sobie, iż przeszkód, które chcemy przeskoczyć, nie będziemy uważali za przeszkody" [7]).

Urzeczywistnijmy czynem słowa Marszałka „Zadaniem duszy ludzkiej jest tworzenie" [7]).

A czyn ten jest potrzebny:

„Polska ma przed sobą wielką pracę. Polska ta wyśniona, wymarzona, ma wszystkie zewnętrzne cechy, któremi my, wychowani w niewoli cieszyć się możemy: wielkie wojsko, wielkie triumfy, wielką zewnętrzną siłę, wielką potęgę, którą i wrogowie i przyjaciele szanować i uznawać, chociażby nie chcieli — muszą. Mamy Orła Białego szumiącego nad głowami, mamy tysiące powodów, któremi serce nasze cieszyć możemy. Lecz uderzmy się w piersi! Czy mamy dość wewnętrznej siły? Czy mamy dość tej potęgi ducha? Czy mamy dość tej potęgi materjalnej ,aby wytrzymać jeszcze te próby, które nas czekają?"

„Polska jeżeli chce być silną nie na uroczystościach, nie przy kieliszku wina, lecz w codziennej pracy, w codziennem życiu, codziennych wspólnych kłopotach, w codziennem słuchaniu ogólnych zjednoczonych praw — Polska musi być zjednoczona i Polska musi być jednością" [6]).

(W tem miejscu mówca zwraca się do portretu Marszałka — wszyscy wstają).

My, zjednoczeni braterstwem Trzeźwości, ślubujemy Ci, Marszałku, że, jak kazałeś Nauczycielstwu w dniu 10 września 1933 roku, staniemy *„do pracy odrodzenia w odrodzonej Ojczyźnie, aby odrodzić dusze, które się w niewoli splugawiły i znikczemniały. Odrodzić dusze ludzkie, zmienić człowieka, zrobić go lepszym, wyższym, potężniejszym i silniejszym", będzie naszem zadaniem. Obok pracy wojskowej, która byt nasz utrwaliła krwią wylaną, będziemy „tymi, którzy w odrodzeniu Polski i Człowieka zdobędą największe prawo do zasługi".*

Tak nam dopomóż Bóg!

PRAWO NIEMIECKIE O ZAPOBIEGANIU POTOMSTWU, OBCIĄŻONEMU CHOROBAMI DZIEDZICZNEMI.

(Referat wygłoszony na Posiedzeniu Państwowej Naczelnej Rady Zdrowia 29.IV. 1935 r.).

Sprawa zapobiegania rozrodowi osób, obarczonych chorobą dziedziczną, została zapoczątkowana w Stanach Zjednoczonych A. P. Pierwszy projekt prawa sterylizacyjnego powstał w stanie Michigan w roku 1897, nie uzyskał jednak zatwierdzenia. Pierwsze formalnie ulegalizowane prawo o sterylizacji zostało wydane w Stanie Indiana w roku 1907.

Zasięg praw sterylizacyjnych obejmuje obecnie w Ameryce 29 Stanów. Założenia ideologiczne Stanowych praw sterylizacyjnych nie są jednolite.

Spotykamy się tam przedewszystkiem ze wskazaniami lekarskiemi i socjalnemi, dalej ze wskazaniami moralnemi i karno - represyjnemi (kastracja) i dopiero w nowszych czasach ze wskazaniami natury eugenicznej.

Do roku 1926 sterylizowano w Ameryce tylko osoby internowane w zakładach psychjatrycznych, lub karnych; nowsze prawodawstwa stanowe dopuszczają sterylizowania poza zakładami.

Najszersze zastosowanie znalazła sterylizacja eugeniczna w Kalifornji, gdzie w okresie czasu od 1909—1928 wyjałowiono 8.515 osób. Sprawie sterylizacji patronuje tam założona przez Gosneya „The human Betterment Fondation" z wybitnym eugenistą Popenoe na czele.

Poza Stanami Zjednoczonemi spotykamy ustawy sterylizacyjne w Stanie Alberta w Kanadzie, w Europie zaś do niedawna mieliśmy tylko ustawę sterylizacyjną w Kantonie de Vaud w Szwajcarji z roku 1928 i w Danji ustawę z dnia 1.VI. 1925 r. Sterylizacja szwajcarska może być stosowaną jedynie względem osób nie zdolnych do wychowywania dzieci i w okresie czasu od 1928—1935 znalazła zastosowanie jedynie w 30 przypadkach.

Niemieckie prawo o zapobieganiu rozrodowi osób dziedzicznie chorych z dnia 14.VII. 1933 r., które poczęło obowiązywać z dniem 1.I. 1934 r. jest niewątpliwie najdalej sięgającą próbą opanowania kakogenicznych wpływów dziedziczenia.

Nowe prawo niemieckie zawdzięcza swoje powstanie przewrotowi nacjonalistyczno-socjalistycznemu, trzeba jednak podnieść, że opinja publiczna w Niemczech była do niego przygotowywana od szeregu lat. Od szeregu lat w Niemczech wychodzi wiele czasopism naukowych, poświęconych zagadnieniom biologji i higjeny rasy, nauki o konstytucji, antropologji społecznej, genetyki oraz zagadnieniom prawnym, związanym z problematem sterylizacji. Od szeregu lat przy Niemieckim Zakładzie Badań Psychjatrycznych (Forschungs-Anstalt für Psychiatrie) w Monachjum czynny jest Instytut badań genealogicznych i demograficznych im. Ces. Wilhelma, kierowany przez wybitnego znawcę dziedziczności prof. Rüdina. Od szeregu lat w prasie ogólno lekarskiej zjawiają się rozdziały, poświęcone specjalnie zagadnieniom dziedziczności, higjeny rasy, polityki ludnościowej, chorób dziedzicznych, eugeniki etc.

W licznych artykułach, poświęconych tym zagadnieniom, biologowie i lekarze różnych specjalności nagromadzili wiele materjału, oświetlającego znaczenie chorób dziedzicznych, znaczenie rasy i wskazywali sposoby popierania rozrodu elementów zdrowych, zachowania czystości rasy i zapobiegania chorobom dziedzicznym.

Nowe prawo niemieckie pomimo to wyrosło na podłożu mistyki nacjonalno-socjalistycznej, w której uwydatniają się wyraźnie i dobitnie dwa podstawowe hasła: hasło rasyzmu i hasło podporządkowania interesów jednostki interesom ogólnym Państwa, lub może raczej rasy germańskiej, reprezentowanej przez Państwo Niemieckie.

Idea rasyzmu opiera się na następującem rozumowaniu. Podobnie jak istnieją rasy w świecie zwierzęcym, a zwłaszcza wśród zwierząt

domowych, istnieją też rasy ludzkie. Grupa jednostek, posiadających pewną liczbę wspólnych charakterystycznych cech dziedzicznych i różniących się temi cechami od innych grup jednostek stanowi rasę ludzką. Jeżeli nie da się uchwycić cech charakterystycznych wszystkich ras, to da się je uchwycić dla rasy niemieckiej, która jest rasą aryjską.

Teoretyk zagadnienia rasy w prasie lekarskiej niemieckiej Jankowsky powiada: „wystarcza nam stwierdzenie, że inne rasy ludzkie są odmienne od naszej. Nie chcemy się mieszać z innemi rasami, ponieważ są nam one obce. Chcemy być dumni z naszych przodków, z naszych cech rasowych nawet jeśli te cechy nie podobają się innym". Hasło rasyzmu ma zatem więcej treści uczuciowej niż objektywnie naukowych uzasadnień.

Hasło walki z indywidualizmem liberalnym nakazuje nazistom niemieckim propagowanie idei podporządkowania jednostki tym najogólniejszym interesom ogólnym, które mają na widoku w pierwszym rzędzie interes germańskiej wspólnoty rasowej.

Pierwiastek mistyczny tego ruchu idejowego zarysowuje się wyraźnie w historycznych argumentach na korzyść nowego prawa, wyłożonych w artykule historyka medycyny G. Stickera. Polityka rasystyczna współczesnych Niemiec nie jest, zdaniem tego autora, niczem nowem. Nakazy eugeniczne nowego prawa są tylko nowoczesnym wyrazem tych samych haseł, które przyświecały prawodawcom staro-indyjskim, które widzimy w prawie Manu, w przepisach obowiązujących izraelitów. Promotorem eugeniki był już Theognis z Megary, który w VI w. przed Chr. protestował przeciwko zawieraniu małżeństw mezaljansowych dla pieniędzy i przestrzegał przed lekceważeniem postulatów dobrej rasy w życiu ludzkiem. Selekcji w sprawie doboru małżonków domagali się Arystoteles i Platon. Wieki średnie, a zwłaszcza okres encyklopedystów, przygłuszyły hasła pielęgnowania rasy.

„Doświadczenia wieków, mówi Sticker, są dość przekonywujące, aby przystąpić nareszcie do higjeny rasy. Przepowiadał ją Platon, nawołuje do niej Hitler, który mówi o konieczności przyspieszenia nadejścia ery, w której ludzie mniej się będą troszczyć o wytworzenie lepszych ras psów, koni i kotów niż o podniesienie własnego poziomu".

Prawo z dn. 14.VII. 1933 r. opiera się na szeregu argumentów ekonomicznych i statystycznych. Liczba narodzin spada w Niemczech podobnie jak i we Francji. Groźniejszym niż ilościowy spadek wzrostu ludności jest jakościowy spadek. W roku 1909 liczono w Niemczech psychicznie chorych internowanych w zakładach 306.000, chorzy ci przerabiają 56.000.000 dni zakładowych w ciągu roku i koszt ich utrzymania w zakładach dochodzi do 190.000.000 marek. Z liczby internowanych psychicznie chorych około 220.000 przypada na choroby dziedziczne. Jeśli dodać do tego niewidomych od urodzenia, głuchoniemych i osoby dotknięte innemi cielesnemi chorobami dziedzicznemi otrzymamy sumę około 300.000 osób, obarczonych dziedzicznie, które trzeba utrzymywać, które mogą produkować potomstwo mniej wartościowe.

Liczba osób mniej wartościowych, które stają się ciężarem opieki publicznej, rośnie szybciej, niż liczba osób pełnowartościowych.

W okresie czasu 1926—1930 liczba mniej wartościowych wzrosła o 10,2%, liczba zaś zdrowej ludności w tym samym czasie wzrosła tylko o 2,5%. Szereg autorów oblicza, że przy przeciętnej liczbie dzieci w zdrowych rodzinach, wynoszącej 1,87, liczba dzieci w rodzinach dotkniętych brakami psychicznemi dochodzi do 3,06.

Fetscher oblicza, że jeśli dodać do zdecydowanie psychicznie chorych, do osób dotkniętych innemi chorobami psychicznemi także psychopatycznych przestępców i pijaków, to będzie w Niemczech około 500.000 osób, których potomstwo byłoby nabytkiem niepożądanym i których koszt utrzymania wyniesie do 350.000.000 marek rocznie.

Łatwo zrozumieć alarm, jaki podnoszą z tego powodu ekonomiści ze stanowiska budżetu nieprodukcyjnego i alarm, jaki podnoszą rasyści ze stanowiska degeneracji. Zastosowanie drakońskich środków dla zapobieżenia dalszemu wzrostowi nieprodukcyjnych wydatków i dalszemu szerzeniu się degeneracji wydaje się autorom niemieckim koniecznością.

Każdy Niemiec powinien mieć paszport zdrowia, w którym byłyby uwidocznione nietylko dane, dotyczące jego indywidualnego zdrowia, ale także dane o jego przodkach przynajmniej do trzeciego pokolenia. Paszporty takie powinien posiadać w szczególności każdy człowiek obarczony dziedzicznie, każdy przestępca i człowiek, stojący w konflikcie z obowiązującym porządkiem społecznym; powinno być przedmiotem dumy każdego Niemca, aby jego paszport zdrowia był czysty.

Badania antropometryczne ustalą wskaźniki i formy typowe dla rasy niemieckiej oraz określą metodą statystyczną dopuszczalne odchylenia. Chemja biologiczna, serologja, endokrynologja, w szczególności badania grup krwi i innych właściwości chemicznych przyczynią się do wszechstronniejszego określenia cech rasowych. Nauka o dziedziczności daje, zdaniem teoretyków rasyzmu, już dziś podstawy do dalej idących zarządzeń, w zakresie ustawodawstwa eugenicznego. Nauka Kretschmera pozwala już dziś ustalić pewne korelacje cech psychicznych z cechami fizycznemi; należałoby pójść dalej i znaleźć metody do ustalenia ściślejszych cech rasowych w dziedzinie życia psychicznego.

Apel Hitlera, aby ochrona rasy stała się ośrodkowem zagadnieniem zbiorowego życia Niemców, aby Państwo stanęło na straży czystości rasy, popierało rozród zdrowych obywateli i uniemożliwiało ludziom chorym wydawanie na świat chorych dzieci, aby powstrzymywanie się od produkowania potomstwa ludzi zdrowych było potępione — ten apel, zdaniem teoretyków rasyzmu, ma całkowite uzasadnienie historyczne, staje się nakazem polityki ekonomicznej, a obecny stan nauk biologicznych i lekarskich pozwala na to, aby nadać kształty konkretne jego dezyderatom.

Tekst prawa niemieckiego z dn. 14.VII. 33 r., jak również rozporządzenia wykonawczego do tego prawa i szereg wydanych już do tych przepisów komentarzy oficjalnych i nieoficjalnych, dają nam

dość dokładny obraz idei przewodnich samego prawa i jego zastosowań praktycznych.

1. Jedną z osobliwości prawa jest to, że powołuje ono do życia sądy, w których lekarze występują nie tylko jako biegli rzeczoznawcy, ale jako Sędziowie decydujący.

Przewodniczącym trybunału decydującego w sprawach sterylizacji jest wprawdzie prawnik zawodowy, większość w składzie trybunału stanowią jednak lekarze.

2. Prawo niemieckie ustanawia nową specjalność lekarską, a mianowicie specjalność orzekania w sprawach chorób dziedzicznych. (Ein Arzt, der mit der Erbgesundheitslehre besonders vertraut ist).

3. W myśl prawa niemieckiego sterylizacja osób, dotkniętych chorobą dziedziczną, staje się obowiązkową dopiero z mocy decyzji Sądu. Osoby obciążone chorobą dziedziczną nie muszą, lecz mogą być wyjałowione, jeżeli Sąd tak postanowi.

Intencja prawa dąży jednak dość wyraźnie do tego, aby sterylizacja objęła wszystkie te osoby, które są obciążone jedną z chorób wymienionych w § 1 prawa.

Komentator prawa Hans Trunk wyjaśnia, że każdy lekarz, a nawet dentysta, mają obowiązek zawiadamiania lekarza urzędowego o każdym wypadku chorób wymienionych w § 1. Obowiązek ten ciąży w szczególności na dyrektorach szpitali, przytułków i więzień.

Rozporządzenie ministra Goeringa, obowiązujące w Prusiech, rozciąga ten obowiązek także na akuszerki.

Nikt niema prawa powoływać się na tajemnicę zawodową.

Osoby, obowiązane do zawiadamiania podlegają karze do 150 marek, jeżeli tego obowiązku zaniechają.

Obowiązek meldowania jest pojmowany bardzo rozległe. Ciąży on np. na lekarzu, który przy sposobności przecinania ropnia dowie się, że jego pacjent jest psychicznie nienormalny.

Stopień nasilenia nienormalności, charakter cierpienia, nie usprawiedliwiają zaniechania obowiązku meldowania. Meldującego nie powinno obchodzić, czy epilepsja, o której się dowiaduje u swego pacjenta jest „dziedziczną" w myśl § 1. p. 4, czy nabytą, czy alkoholizm jest ciężki czy lekki. Lekarz każdy winien zawiadomić lekarza urzędowego, a już rzeczą Sądu będzie uznać, czy dane cierpienie podpada pod art. 1 czy nie podpada.

Jakkolwiek osoby, które, czy to ze względu na późny wiek, czy z innych powodów, nie są zdolne do wydawania potomstwa, nie podlegają sterylizacji, obowiązek meldowania o chorobach dziedzicznych także i u tych osób, ciąży na każdym lekarzu (zapewne chodzi tu o zebranie danych statystycznych). Od zabiegu sterylizacji mogą być zwolnione te osoby, których stan zdrowia ogólnego mógłby ucierpieć na tem, ale i te osoby winny być wniesione do list meldunkowych.

4. W szeregu schorzeń, które mogą dawać powód do sterylizacji, dominujące miejsce zajmują schorzenia neurologiczne i psychiczne.

a) W pierwszym rzędzie art. 1. ustawy niemieckiej wymienia *niedorozwój umysłu*. Obejmuje ten punkt nie tylko ciężkie postacie idjotyzmu i głuptactwa, ale także lżejsze postacie ograniczoności, nie-

zmiernie częste, o ile dają powód do mniemania, że mogą się przekazać dziedzicznie.

Komentarz oblicza, że osób dotkniętych niedorozwojem psychicznym jest w Niemczech od 300—600 tysięcy (1—2%), ale z tego tylko $^2/_3$ należy do kategorji wrodzonych i dziedzicznych.

Nie podlegają sterylizacji osoby dotknięte niedorozwojem nabytym, wskutek np. przebytego w dzieciństwie zapalenia opon mózgowych, lub innych przyczyn zewnętrznych, dalej osoby dotknięte postaciami oligophrenji, które szybko kończą się śmiercią (mongolizm, choroba Tay-Sachsa) lub prowadzą do bezpłodności (kretynizm endemiczny).

b) *Schizophrenia.*

Ze względu na częstość stawiania rozpoznania schizophrenji, na płynność granic tego rozpoznania punkt 2 art. 1. ustawy pozwala na niezmiernie szerokie stosowanie sterylizacji w schorzeniach, należących do grupy schorzeń schizophrenicznych.

Dziedziczenie schizophrenji należy wedle przypuszczeń opartych na dotychczasowych badaniach, do dziedziczenia cechy ustępującej. Schizophrenia występuje jako cierpienie odziedziczone w 10% przyp. jeżeli jeden z rodziców jest chory i w 52% przyp. jeżeli oboje rodzice byli dotknięci tem samem cierpieniem.

Krytycy (Minkowska) [1]) twierdzą, że niema dostatecznych podstaw do uważania schizophrenji za cierpienie, które prowadzi do postępującej degeneracji. Przeciwnie, raczej fakty, na które powołuje się Minkowska, przemawiać mogą za tem, że w schizophrenji czynniki regeneracyjne i renowacyjne odgrywają bardzo dużą rolę, a groźba sterylizacji uniemożliwi bezstronne poznanie rzeczywistych stosunków dziedziczenia w schizophrenji, które wymagają jeszcze dalszych badań.

c) Psychoza szałowo-posępnicza uchodzi za postać chorobową, w której dziedziczeniu momenty cechy panującej zarysowują się wyraźniej niż w schizophrenji.

Ale i w tem cierpieniu bieg dziedziczenia nie został jeszcze dość wyraźnie określony. Autorzy mniemają, że chodzi tu o zwykłą parę cech mendlujących, spotyka się jednak i w tem cierpieniu momenty ustępujące. Empiryczna prognoza dziedzicznościowa psychozy szałowo-posępniczej nie jest istotnie pomyślna.

Jeżeli jeden z rodziców był dotknięty psychozą maniakalno-depresyjną, to

w potomstwie występuje ona	w 32,5%	przyp.
w postaci lekkiej cykloidalności	w 17,3%	„
w innych formach nienormalności	w 13%	„
razem	w 62,8%	przyp.

Jeżeli oboje rodzice są dotknięci chorobą, występuje ona u potomstwa w 90—100% przyp.

Przeciwko sterylizowaniu osób dotkniętych psychozą maniak.-depresyjną przemawiałyby pewne względy:

a) często spotykamy wśród tych osób jednostki bardzo uzdolnione,

b) wnoszą te osoby do życia pierwiastek ciepłej żywej uczuciowości i syntonji.

d) *Padaczka dziedziczna.*

Liczba osób, dotkniętych tą postacią padaczki wynosi w Niemczech około 100.000. Dziedziczność jednorodną obliczają autorzy niemieccy na 10%, w potomstwie epileptyków występują często różnorodne postacie psychopatji. Minkowska, która specjalnie zajmowała się dziedzicznością w padaczce, twierdzi, że sprawa przekazywania się padaczki nie jest jeszcze wyjaśniona.

e) *Pląsawica Huntingtona.*

Jest to jedyna postać, na szczęście rzadka, w której dziedziczność przedstawia się istotnie fatalnie.

Cierpienie ujawnia się zazwyczaj w średnim wieku (często po 40-ce). Wyjaławianie osób już zdecydowanie chorych jest mało celowe. Profilaktyczna sterylizacja potomstwa, która tu byłaby celową, nie jest przez ustawę przewidziana. Można ją tylko doradzać.

f) *Ciężkie postacie alkoholizmu.*

Komentarz nie uważa alkoholizmu samego przez się za cechę dziedziczną, ale raczej za wyraz różnorodnych usposobień psychopatycznych, mających tendencję do przekazywania się potomstwu.

Alkoholicy są elementem nie-społecznym i niezdolnym do wychowania potomstwa.

5. Ustawa dopuszcza jedną tylko formę wyjaławiania — chirurgiczną. Kastracja jest ze stanowiska ustawy eugenicznej niedozwoloną, może być zastosowaną jedynie na podstawie innych wskazań lekarskich, lub jako środek karny. (Prawo o zwalczaniu niebezpiecznych przestępców z nawyknienia i o środkach zabezpieczenia i poprawy z dn. 24.XI. 1933. § 42 a. p. 5. § 42 K. w przypadkach recydywy nierządu, uszkodzeń ciała połączonych z nierządem, mordu seksualnego i t. p.).

Ustawodawca uważa, że przewiązanie przewodu nasiennego, względnie jajowodu nie wpłynie ujemnie na potentiam coeundi, ani na psychikę.

Psychorodnych reakcji depresji, które mogą doprowadzić nawet do samobójstwa, ustawa niemiecka nie bierze pod uwagę. Interes Państwa stawia się tu na czele, nie licząc się z moralną krzywdą jednostki zupełnie.

Prawo o sterylizacji stanowi w Niemczech tylko część składową całego systemu środków, mających na widoku higjenę „rasy niemieckiej". W skład tego systemu wchodzą: rozporządzenia antysemickie, zakazy zawierania małżeństw z osobami, należącemi do innych ras, zmniejszanie kosztów opieki nad osobami mniej wartościowemi, ograniczanie wydatków na utrzymanie i wychowanie dzieci nienormalnych do minimum, tworzenie poradni przedślubnych, propaganda idei zdrowej rasy, protegowanie dzieci, pochodzących z rodzin zdrowych, usuwanie ze stanowisk społecznych osób, które mogą „zanieczyścić rasę", środki zabezpieczające w stosunku do przestępców recydywistów z kastracją włącznie.

Nowe hasła higjeny rasy, proklamowane w III Rzeszy, nie zatrzy-

mują się na tych środkach. Trudno dziś przewidzieć, jakie dalsze zarządzenia mogą być wydane na drodze do realizacji programów oczyszczenia rasy.

Ze stanowiska etyki liberalizmu, jak również ze stanowiska etyki chrześcijańskiej, prawo niemieckie z dn. 14.VII. 33 przedstawia przykład okrutnego gwałtu w stosunku do praw jednostki, które przywykliśmy szanować. Cały system ochrony rasy nosi cechy zaślepionego fanatyzmu, zapędzającego się w ślepą ulicę bez wyjścia.

Ze stanowiska biologiczno-lekarskiego prawo sterylizacyjne niemieckie nastręcza szereg wątpliwości. Sposób dziedziczenia się chorób znamy stosunkowo dobrze w jednej tylko chorobie, a mianowicie w pląsawicy Huntingtona. Choroba ta występuje rzadko i ujawnia się zazwyczaj zbyt późno, aby sterylizacja osób chorych mogła prowadzić do celu.

W dziedziczeniu psychozy szałowo-posępniczej mamy do czynienia prawdopodobnie z dziedziczeniem nie jednej, ale kilku cech panujących (dziedziczenie polyhybrydalne), ale to nie jest jeszcze zupełnie pewne.

Schizophrenię uważa się za chorobę dziedziczącą się recesywnie, a więc stosunkowo mało niebezpieczną dla potomstwa i nadającą się do regeneracji przy krzyżowaniu z osobnikami zdrowymi.

O dziedziczeniu się niedorozwoju umysłowego i epilepsji wiemy jeszcze mniej. (Minkowska) [1]).

Prawo nie pozwala sterylizować osobników fenotypicznie zdrowych, którzy mogą być genotypicznie bardzo podejrzani i niekorzystni dla rozrodu.

Nie podlegają sterylizacji liczne typy psychopatów, którzy mogą wydawać potomstwo dotknięte wyraźną chorobą, liczne przypadki chorób utajonych.

Wykorzenienie takiej prawdopodobnie recesywnej cechy, jaką jest schizofreniczność, wymagałoby sterylizowania 40 pokoleń z rzędu i trwałoby z górą 1000 lat. (Nelken).

Niektóre postacie psychopatji wnoszą do życia społecznego pierwiastki postępu, torują nowe drogi i odznaczają się twórczością. Wykorzenienie tych postaci groziłoby spłaszczeniem życia społecznego, skamienieniem jego form.

„Zupełne usunięcie psychopatów byłoby równoznaczne z niwelacją społeczeństwa w kierunku przeciętności i podrzędności", mówi Bonhöffer, — cytowany przez Nelkena.

Argumenty natury ekonomicznej nie są przekonywujące. Kraje takie, jak Anglja, Holandja i Belgja mają nie tylko ilościowo, ale i jakościowo bogaciej wyposażony aparat opieki nad psychicznie chorymi i nie śpieszą się jeszcze z tego powodu z wprowadzeniem u siebie przymusowej sterylizacji osób psychicznie chorych.

Koszty opieki nad psychicznie chorymi są istotnie dość znaczne.— W Polsce np. wyniosły one w r. 1929 około 23.000.000 zł.

Gdyby względy ekonomiczne miały decydować o losie psychicznie chorych, to daleko skuteczniejszym sposobem pozbycia się tych kosztów byłaby nie sterylizacja lecz np. wytrucie lub rozstrzelanie wszyst-

kich chorych. Jeżeli zechcemy sobie na chwilę wyobrazić, że w którymś kraju zdecydowano się na taką radykalną operację, legalizując ją np. ustawą o eutanazji eugenicznej, to musimy sobie uprzytomnić, że równocześnie powstaje nowe zagadnienie społeczno-ekonomiczne, zagadnienie bezrobocia kilku tysięcy osób, zatrudnionych opieką nad psychicznie chorymi, spadek spożycia, związany z ubytkiem liczebnym konsumentów.

Gdyby w reformowaniu stosunków społecznych miały decydować warunki ekonomiczne doby obecnej, to powinnoby się pozamykać wszystkie szkoły, teatry, kina, a nadewszystko zlikwidować najdroższą część aparatu państwowego — wojsko.

Pomimo zastrzeżeń co do całkowitej celowości ustawy sterylizacyjnej, trudno odmówić jej pewnej racji. Dziedziczny charakter niektórych chorób — zwłaszcza chorób psychicznych, nie ulega wątpliwości. Jakkolwiek najradykalniejsza sterylizacja chorych nie usunie wszystkich elementów dziedzicznych, szkodliwych dla zdrowia przyszłych pokoleń, to w każdym razie zmniejszy ich liczbę.

Bezwzględnie wskazaną i uzasadnioną wydaje się sterylizacja osób, które są niezdolne do wychowania potomstwa, jeżeli zachodzi uzasadniona obawa, że te osoby mogą mieć potomstwo, co ma np. miejsce w wielu przypadkach głuptactwa, psychopatji i alkoholizmu, połączonych ze wzmożeniem popędu płciowego.

Wzgląd, że pewna część psychopatów wnosi do życia społecznego wartości dodatnie, podkreślany u nas przez Dr. Nelkena, nie powinien być lekceważony. Nie może jednak ten wzgląd przesłaniać innego faktu, że druga i to znacznie liczniejsza część psychopatów wnosi do życia społecznego tylko ujemne wpływy rozkładu, zdziczenia, dokuczliwości, niszczenia, zgorszenia, egoistycznej bezwzględności, samowoli, poniewierania innych i t. p.

Znane są przypadki sporadyczne, w których psychopatyczne cechy społecznie wysokowartościowych rodziców wyradzają się w potomstwie w kierunku cech społecznie ujemnych; bez porównania częściej mamy do czynienia z przekazywaniem się psychopatycznych cech rodziców o ujemnej wartości społecznej z zatrzymaniem ujemnych wartości, a już chyba do unikatów należą przypadki przekształcania się psychopatycznych cech antyspołecznych w cechy dodatnie.

Na zakończenie pozwolę sobie na kilka uwag ze stanowiska polskiego. Ciekawy eksperyment selekcji materjału ludzkiego, dokonywany w Niemczech nie nadaje się do przeniesienia go żywcem na nasz grunt.

Jesteśmy krajem o różnolitym składzie narodowościowym i ideje rasyzmu nie znajdują u nas odpowiedniego gruntu, a gdyby się zaczęły szerzyć, mogłyby doprowadzić do nieobliczalnych konsekwencyj.

Ustawa sterylizacyjna napotkałaby u nas zdecydowany opór Kościoła Katolickiego i mojżeszowego.

Najważniejszem jest to, że nie jesteśmy przygotowani do walki ze szkodliwymi czynnikami dziedziczności, ponieważ nie mamy ani jednej instytucji naukowej, któraby badała to zagadnienie systematycznie na terenie Polski. Lekarzy, którym sprawa przekazywania się chorób dziedzicznych jest jako tako znana, mamy zaledwie kilku. Jedyna

samodzielna katedra psychjatrji, jaką jeszcze posiadamy po redukcjach katedr, ma na celu przedewszystkiem zadania dydaktyczne i nie jest instytutem, mającym wyłącznie badawcze cele.

To też wydaje mi się, że pierwszym wyrazem poważnego zainteresowania się naszego sprawami eugeniki i higjeny rasy powinno być powołanie do życia Polskiego Instytutu Badań etjologji chorób psychicznych, ze szczególnem uwzględnieniem chorób dziedzicznych.

Doc. Dr. Witold Łuniewski.

PIŚMIENNICTWO:

1. Minkowska F. La critique de la loi de sterilisation du point de vue generalogique. (Annales médico-psychologiques XV Serie. 93 Anno T. 1 N. 3. Mars. 1935).

2. Nelken. Higjena psychiczna usposobienia psychopatycznego jako zagadnienie kultury. (Zagadnienia Rasy, T. VIII Nr.Nr. 3—4. R. 1934.

3. Gütt-Rüdin-Ruttke. Zur Verhütung Erbkranken— Nachwuchses Gesetz und Erlaüterungen. Lehmanns Verlag, München, 1934.

KILKA UWAG W SPRAWIE PROJEKTU USTAWY EUGENICZNEJ.

Państwowa Naczelna Rada Zdrowia, organ doradczy przy Ministrze Opieki Społecznej, obradowała na plenarnem swem posiedzeniu dn. 29.IV. 35 nad projektem „Ustawy eugenicznej", przedstawionym przez Sekcję Eugeniczną tejże Rady, a referowanym przez autora projektu i głównego jego promotora p. Dr. Leona Wernica, prezesa Polskiego Towarzystwa Eugenicznego.

O genezie i istocie podobnej niemieckiej ustawy, zwanej popularnie „sterylizacyjną", wygłosił na tem samem posiedzeniu Rady Zdrowia niezmiernie interesujący referat Doc. Un. Warsz. p. Dr. Witold Łuniewski, Dyrektor Państwowego Zakładu Psychjatrycznego w Tworkach, który wyżej został podany.

Kwestje związane z zagadnieniem ustawodawstwa eugenicznego tak ściśle łączą się ze sprawą alkoholizmu, jako jednego z głównych czynników degeneracji rasy ludzkiej — że uważamy za niezbędne zwrócić szczególną uwagę Szanownych Czytelników „Trzeźwości" na to zagadnienie.

Projekt polskiej „Ustawy Eugenicznej" *) zmierza w dwu kierunkach: z jednej strony pragnie zapobiegać szerzeniu się objawów zwyrodnienia wśród szerokich mas ludności przez ich *uświadamianie* — do czego ma służyć wielka sieć „Poradni Przedślubnych", (których w obecnej chwili Pol. Tow. Eugeniczne prowadzi już 24), oraz przez wprowadzenie „zaświadczeń lekarskich o stanie zdrowia kandydatów do związku małżeńskiego". (Bez podobnego zaświadczenia małżeństwo nie będzie mogło być zawarte). Wreszcie w drugiej swej części projekt ustawy przewiduje, że: „Celem ograniczenia rozrodu jednostek niedo-

*) Podany w „*Higjenie Psychicznej*" Nr. 1—2 str. 85—88.

rozwiniętych, zwyrodniałych, obłąkanych, oprócz istniejącej segregacji płciowej (zakłady zamknięte dla umysłowo chorych, domy pracy dla przestępców, włóczęgów i żebraków), wskazane jest wyjałowienie (sterylizacja) w przypadkach ciężkich chorób, przekazywanych potomstwu, zarówno natury fizycznej (krwawiączka), jak i psychicznej, ciężkich zboczeń seksualnych, dziedzicznych chorób zmysłów (głuchoniemota, ślepota wrodzona), wreszcie ciężkiego alkoholizmu".

Nie jest naszem zadaniem rozstrząsanie pytania o stopniu celowości, lub niecelowości sterylizacji — duży snop światła rzuciła na to niezwykle trudne zagadnienie wyżej przytoczona praca p. Dr. Łuniewskiego —chcielibyśmy tylko zauważyć, że w spisie tych objawów degeneracji, które powinny prowadzić do sterylizacji jako środka zapobiegawczego — obok „ciężkiego alkoholizmu" powinny być słowa: „i innych ciężkich postaci narkomanij".

Na posiedzeniu Państw. Nacz. Rady Zdrowia omawiany projekt wywołał nader ożywioną dyskusję i krytykę oraz kilka wniosków—w wyniku czego został on przekazany Sekcji Eugenicznej do ponownego rozpatrzenia, w celu przedstawienia następnie na plenum Rady. Z powyższego wynika, że sprawa ustawy eugenicznej w Polsce jest bardzo aktualna. Z punktu widzenia ogólnego ustawa taka może mieć ogromne znaczenie — zwróci ona społeczeństwu uwagę na doniosłość życiową spraw, wchodzących w zakres jej działania i może zmusi nareszcie do głębszego zastanawiania się nad znaczeniem tych zagadnień dla jednostki, narodu i Państwa...

Obok niesłychanego chaosu i pierwotności w sprawach seksualnych — mamy wprost potworny obraz w dziedzinie narkomanij, z alkoholizmem na czele. To, co się u nas dzieje pod tym względem, jest czemś, co bardzo źle o nas świadczy. — Sam fakt rozważania projektu ustawy eugenicznej, przy jednoczesnem faktycznem zniesieniu ustawy przeciwalkoholowej — i możności nieograniczonego pomnażania liczby koncesyj alkoholowych — świadczy wymownie o pewnych niekonsekwencjach... Ale wróćmy do projektu. Otóż wydaje się nam, że w jego części *zapobiegawczej* powinna być zwrócona uwaga na sprawę wielkiej doniosłości: *przymusowego leczenia i ubezwłasnowolnienia alkoholików chronicznych.*

Stan obecny tej sprawy u nas przedstawia się w ten sposób, że alkoholik chroniczny przez szereg lat bez żadnego skrępowania, bez żadnych skutków prawnych może niszczyć swoją rodzinę, znęcać się nad nią, bić i katować żonę i dzieci — i na to wszystko niema żadnego środka prawnego — bo to „pijak". Alkohol jest tu rodzajem glejtu bezpieczeństwa i bezkarności dla nałogowca, a czasem tylko dla sadysty, korzystającego z alkoholu, jako środka ewentualnej obrony. Na tle podobnych stosunków, jakżeż wiele zachodzi ciężkich dramatów rodzinnych, kończących się w finale morderstwem żony, lub męża i sierocztwem dzieci.

Ale i z punktu widzenia ściśle eugenicznego ma ta sprawa kolosalne znaczenie; przy znanej płciowej pobudliwości i zwierzęcości alkoholików mamy u nich całą masę ciężkich wykroczeń seksualnych m. in. gwałcenie swych nieletnich córek — nie mówiąc już o tej atmosferze upadku skrajnego i zgnilizny moralnej, którą pijacy wprowadzają do

swych domów, przychodząc do nich jawnie z prostytutkami i urządzając dzikie uczty pijackie. W dodatku potomstwo alkoholików często jest bardzo liczne.

Jest rzeczą stwierdzoną, że większość dzieci zbrodniczych i anormalnych pochodzi ze środowisk zalkoholizowanych (Dr. Stypułkowski, Dr. Grzegorzewska, Dr. Dąbrowski).

Alkoholicy są również nosicielami i krzewicielami chorób wenerycznych.

Powyższe wystarcza chyba w zupełności, aby dojść do przeświadczenia, jak bardzo niebezpiecznym z punktu widzenia *zdrowia* rasy jest alkoholizm wogóle, a przewlekły w szczególności. Każda rodzina alkoholika staje się prędzej, czy później ciężarem dla społeczeństwa, pozycją ujemną w ogólnym bilansie jego zdolności do pracy fizycznej, czy intelektualnej.

Sądzimy więc, że ustawa eugeniczna powinna zawierać m. in. następujący przepis:

„Osoby, ulegające chronicznemu alkoholizmowi, lub jakiejś innej narkomanji (morfinizm, kokainizm i t. p.) mogą być na wniosek komisji, złożonej z dwóch lekarzy specjalistów, (eugenisty i psychjatry), oraz przedstawiciela organów sanitarnych władz administracji ogólnej, oddane na podstawie decyzji Sądu na przymusowe leczenie do specjalnego zakładu leczniczego, jednocześnie Sąd orzeknie o ich ubezwłasnowolnieniu na czas trwania kuracji".

Wprowadzenie w życie podobnego przepisu prawnego położy kres całej masie strasznych przeżyć rodzin alkoholików, zapobiegnie szerzeniu się demoralizacji, skrajnej nędzy, występku i zbrodni. Tragiczny obraz skutków „wolności alkoholowej" znajdzie Czytelnik w niżej umieszczonym artykule p. Klimowicza p. t. „Przez pryzmat Sądu".

Profilaktyka eugeniczna, bez dostatecznego zwrócenia uwagi na sprawę niebezpieczeństwa istnienia ogromnej liczby typowych środowisk degeneracji, jakimi są środowiska alkoholowe, będzie połowiczna i celu nie osiągnie.

Jan Szymański.

O RÓŻNYCH KARCZMACH SŁÓW KILKORO.

„Rarytas karczma we wsi".

A więc w każdej wsi była karczma, była to budowla specjalnego że wieś bez karczmy wyglądała w przeszłości jakby jej czegoś brakowało. Rozumie się mam tu na myśli wieś polską w owe stare i nawet podobno „d o b r e c z a s y" — jak nam to pisali kiedyś twórcy starych opowieści i jak to nam opowiadali starzy ludzie, gdyśmy byli młodymi albo i zgoła dziećmi.

A więc w każdej wsi była karczma, była to budowla specjalnego stylu, który podobno: „w z i ę t y b y ł o d s y r y j s k i c h c i e ś l i, a k t ó r y n a m Ż y d o w i e n a L i t w ę p r z e n i e ś l i", (A. M i c k i e w i c z) i nietylko na Litwę — przypuszczam — że najpierw do Polski, a dopiero później, kiedy to z Polski i dobre i złe obyczaje i rzeczy szły na Litwę — przeniesiono tam i karczmy. Jeżeli wieś była nieduża i niekościelna i nie przy wielkim trakcie, ale ot, zwy-

czajnie przy mało uczęszczanej drodze, to i budynek karczemny był mały, no i „ruch" w nim niewielki. Jeżeli zaś karczma stała przy wielkim trakcie np. Warszawa, Radom, Kraków lub Wilno, Lublin, Lwów czy Poznań, to w owe czasy, kiedy to nie było jeszcze szos, ale zwyczajne wielkie, szerokie gościńce, to przy takim gościńcu stały najczęściej murowane austerje, które też nazywano: oberżami. Przy takiej „oberży" stała stajnia, inaczej zajazd, w którym, jak ja to jeszcze pamiętam, można było pomieścić z 50 koni; to też przy ścianach stały tam żłoby i nad nimi były przymocowane drabiny na siano. Takie zajazdy — oberże przy wielkich gościńcach były prawie co wiorstę, i nie dziw, tymi traktami po błotnistych i piaszczystych drogach jeździło mnóstwo podróżnych, jeździło wolno, stępa, jeżeli z ciężarem, a już małego kłusa, jeżeli to była pańska kolasa; chłopina czy żyd, wlókł się pomału, najczęściej idąc koło wozu na piechotę. Jakiś zgorszony rymopis, kiedy pobudowano pierwsze koleje napisał: „ A kiedy człowiek z biedą po dołach i pniakach przez mostek rozwalony i po okrąglakach godzinę wiorstę jechał i złamał oś nową, widzisz lecącą z świstem maszyną parową".

Ale gdy jeszcze nie „świstały maszyny parowe", gdy po złych drogach wlokły się ciężkie, ładowne wozy, ciągnione po kilka koni, kiedy na przejazd np. z Radomia do Warszawy trzeba było jechać 4 doby, to na noc do zajazdu zajeżdżało tyle wozów i koni, ile tylko miejsca starczyło. Konie umieszczano w stajniach, a furmani nocowali w karczmie, gdzie w one czasy gospodarzył i karczmarzył najczęściej żyd. Dla podróżnych znaczniejszych, dla panów były izby gościnne t. zw. „nomery". Rozumie się, że było to już dawno, kiedy nie było dróg bitych — szos, bo kiedy pobudowano drogi bite, to już w owych karczmach nikt nie nocował, chociażby dlatego, że szosą chodziły karety pocztowe, które jechały dzień i noc. A ludzie bogaci, lub ci, którym było pilno, jeździli t. zw. „ekstra pocztą" i także jechali dzień i noc. Ale ogromne wozy ciężarowe t. zw. frachty szły szosami, jeszcze dziesiątki lat aż do pobudowania kolei. Pamiętam je dobrze, około 60 lat temu, a nawet lat temu 50, te karczmy. — Zajazdy dla podróżnych były potrzebne, nawet konieczne, ludzie podróżujący i konie, co wiozły ciężary, musieli mieć miejsca dla noclegów i pożywienia się. Taka przytraktowa karczma „austerja" — czy „oberża" miała ogromną izbę a w niej odgrodzony szynkwas, a za nim oddzielną izbę „alkierz". W dużej izbie szły dookoła stoły zbite jaknajprościej z dwóch tarcic, za nimi szły również dookoła ławy. Przy stołach jadali furmani, zwykle żydzi, czasem Słowacy z za Karpat, co „nam osi" wieźli na brykach beczułki wina z Węgier do Warszawy. Rozumie się, że ci furmani, co życie przepędzali w podróżach, byli to ludzie trzeźwi, nikt z tych ludzi nigdy się nie upił, był taki stały furman typem dla którego polem — czy warsztatem pracy był wóz z 4-ma lub 5-ma końmi, a miejscem odpoczynku — zajazd. Żyd gospodarz miał dla niego kieliszek wódki, zwykle okowity, gęsinę, kury, rosół z fasolą lub kluskami i kawę albo herbatę. Miejscowa ludność nie lubiła tych „austerji" przy wielkich traktach, gdyż nie mogła się w nich upijać i hałasować, furmani chcieli odpoczynku i spokoju, hałasu nie znosili, i dlatego te karczmy przy wielkich traktach były koniecznością i nie były szkodliwe,

furmani, przeważnie żydzi, byli to ludzie wypróbowani w trzeźwości. Najbardziej szkodliwemi były karczmy przy kościołach i te się tu w b. Kongresówce najdłużej trzymały. Istniały one jeszcze, chociaż już nie przy każdym kościele, nawet po zaprowadzeniu monopolu państwowego w państwie carów. Najbardziej szkodliwemi były karczmy przy kościołach, we wsiach kościelnych, gdyż tam gromadzi się lud w niedzielę i święta na odpusty i np. z chrztem ,z pogrzebem ,a prócz tego w takiej karczmie w niedzielę była muzyka i tańce. Starzy szli do karczmy po sumie — czekając na nieszpory. W międzyczasie ludek obsiadał owe rozstawione dookoła wielkiej izby stoły i „posilał się", a ten posiłek rzadko bardzo obchodził się bez gorzałki. O szkodliwości dla zdrowia alkoholu w owe czasy rzadko kto wiedział, chociaż nauka już wiedziała, to też mówiono powszechnie, że wypić, byle się nie upić do nieprzytomności, to nic złego, to nawet idzie na zdrowie, zwłaszcza, jeżeli się dobrze zje. To też pito w tych przykościelnych karczmach, pito przy każdej sposobności, pito, rozpijano się i wpadano w nałóg pijaństwa. Znam miejscowość z karczmą przykościelną, gdzie już za moich czasów coś 8 ludzi zapiło się na śmierć. A ileż to było takich miejscowości? Duchowieństwo, jeżeli o b. Kongresówkę chodzi, nie będąc samo materjalnie zainteresowane w pijaństwie ludu, potępiało pijaństwo, ale szło to jakoś ciężko, właściciele gorzelń, zwłaszcza dziedzice-kolatorzy, nie byli radzi takiemu proboszczowi, który usilnie zwalczał pijaństwo. To też i to zwalczanie pijaństwa przez księdza było często więcej formalne — niż faktyczne. Pijaństwo zaczęło zanikać na wsi wraz ze wzrostem oświaty, czytelnictwo, pisma, ludowe zwłaszcza, te odegrały dużą rolę w zwalczaniu pijaństwa. W tym miejscu pozwolę sobie oświetlić jedno — a jakże znamienne spostrzeżenie. Oto człowiek wsiowy, chłop, gospodarz, gdy stał się wolnym, gdy się z czasem nieco oświecił, nauczył czytać, gdy sobie zaprenumerował gazetę, rozumie się tygodniową „Świąteczną", czy „Zorzę", czy później takie „Zaranie", to już poprostu wstydził się pić gorzałkę, za ujmę, za dyshonor sobie uważał iść do karczmy. Prawda, nie było wielu tych ludzi, ale jakiż oni ogromny wywierali wpływ na otrzeźwienie ludu wsi i to po wiekach stałego rozpajania. Chłop, który się oświecał, oświatę swoją dokumentował trzeźwością własną i swojej rodziny. A młodzież ta, co wyszła z Szczelin, Kruszynka, Sokołówka, Gołotczyzny, Kraśnina, toż to była niezmiernie trzeźwa młodzież. Tak to na tę młodzież oddziałał wpływ tych szkół, ich kierownictwo, ich idea przewodnia ,aby dać krajowi — społeczeństwu nowych ludzi, nowych obywateli. Czy ta młodzież wszystka w 100% wytrwała na tej drodze, nie wiem, czy „błoto życia", na które była zmuszoną hartować swoje charaktery, nie wciągnęło jej w topielisko? Nie wiem, zapewne może ten i ów się załamał — nie wytrwał. Wierzę jednak, że to była mniejszość, że większość, że kobiety, co z tych szkół wyszły, zostały wierne tym idejom, które wyniosły z tych sławnych szkół. Na tem skończę ten pobieżny obraz karczem przy traktach i przy kościołach; pozostały mi do charakteryzowania karczmy w wioskach małych, karczmy, co je pobudowali panowie dziedzice, właściciele gorzelni, właściciele jednej wioski, jako punkty rozdzielcze, przez które rozdzielali gorzałkę wśród swoich „poddanych". Krzysztof Opaliński pisze o tem w swoich satyrach. Rozu-

mie się, że te karczmy były także bardzo szkodliwe. Mając za pole działania jedną tylko wieś, a r e n d a r z, znowu przeważnie żyd, starał się wlać jaknajwięcej gorzałki do gardła każdego chłopa. Gdy się we wsi znalazł chłop rozumniejszy i przez to trzeźwiejszy, to taki był celem nienawiści dla arendarza, był przez niego szkalowany i oskarżany we dworze i nierzadko stawał się ofiarą tych „donosów", ponieważ dwór miał wiele sposobów, aby zatruć życie i aby zniszczyć „krnąbrnego" chłopa, co przykładem trzeźwości zaraża wieś i umniejsza w ten sposób dochody dziedziców. Te karczmy zniknęły z powierzchni kraju najwcześniej, zaraz po uwłaszczeniu, jak tylko skończyła się zależność chłopów od dworów. Z tą chwilą karczmy wsiowe dla jednej wsi stały się niedoutrzymania. Ani muzyka w niedzielę, ani wesela, co szły na tańce do karczmy — ani chrzciny, ani pogrzeby — stypy odprawiane w karczmie, nie mogły ich uratować. Młodzież w niedzielę natańczyła się w karczmie przy kościele. A wesela, chrzciny i pogrzeby na jednej wsi to były zdarzenia rzadkie i karczmy utrzymać nie mogły. To też jeszcze przed „monopolem" zostały wszystkie pozamykane. Tak tedy powoli zaniknęły karczmy w Polsce Kongresowej za okupacji rosyjskiej. Istniały tu długo, wieki, zatruły krew pokoleń, zubożyły, znieprawiły i ogłupiły lud, znieprawiły, spodliły, a nie zbogaciły panów, dziedziców, właścicieli karczem; nareszcie poginęły bezsławnie. Karczmy po zniknięciu ze wsi pozostały w miastach i miasteczkach, nie ubyło ich tu, ale jeszcze przybyło — całe r y n k i miasteczek obstawione były karczmami, które tu nazywano „s z y n k a m i", o ile były przeznaczone dla t. zw. „prostych" ludzi, „r e s t a u r a c j a m i" o ile były przeznaczone dla t. zw. „inteligencji". Te przybytki gorzałczane w miastach mają swoją oddzielną „historję". Mieszczanin w Polsce stał wyżej od chłopa na drabinie społecznej. Tytułował się „s ł a w e t n y m". Miasta miały swój samorząd, swoje sądy, no i co niezmiernie ważne, miały szkoły, rozumie się prowadzone przez duchowieństwo. I co się pokazało — karczmy, szynkownie, pijaństwo przyczyniły się do ogłupienia mieszczaństwa. Rozumie się, że szlachta samowładna, zachłanna, niszczyła miasta materjalnie jak tylko mogła, a mogła wiele, opanowawszy prawodawstwo. Ale rozwielmożnione pijaństwo wśród mieszczan było też wielkim czynnikiem zniszczenia. Ani rzemieślnik, ani kupiec nie może być pijakiem, do tych zajęć trzeba trzeźwych głów, a tu głowa utonęła w szynku. Można na to powiedzieć, że miasteczka nasze były niszczone przez wojny — zapewne, ale nieprzyjaciel wewnętrzny — s z y n k był straszniejszy od zewnętrznego. Nieruchomości miejskie — domy te w rynku przechodziły w ręce żydowskie. Już za mojej pamięci, gdy byłem młody, domy przyrynkowe w miasteczkach należały do Żydów, którzy w nich mieli szynki i sklepy. Nawet handel polski, nawet rzemiosło w miastach małych prawie że zanikły, zostało trochę szewców (pijany jak szewc), trochę stelmachów, bednarzy, rzadko gdzie krawiec Polak, a wszystko to zostało opanowane przez żydów, całkiem nie dlatego, że żydzi byli jakoby mądrymi — czy wykształconymi, nie, żydzi byli tylko trzeźwi i mieli do czynienia tu w Polsce z ludźmi pijącymi za dużo, a więc pijakami i przez to głupszymi od siebie. I znowu taki stan miast trwał długo, aż przy końcu XIX i na początku XX w. zaczęła się zmiana. W miastach zaczęły powstawać sklepy pol-

skie, rzemieślnicy polscy nietylko szewcy ,ale i inni, przestali pić, a przez to zaczęli się dorabiać, wykupywać od żydów domy przyrynkowe, miasta zaczęły się polszczyć; mówię tu zawsze o t. zw. małych miasteczkach w b. Kongresówce. Tak te sprawy przedstawiały się w b. Kongresówce ,a jak w b. Galicji? Odpowiedź na to daje — i to wyczerpującą—Dr. Józef Putek w swojej książce p. t.: „Mroki średniowiecza“ w ostatnim jej dziale p. t.: „Trucicielе ciał i dusz“. Tam w tej „autonomicznej i samorządowej“ b. Galicji karczma we wsi została podniesiona do godności instytucji społecznej. Mieściły się w niej urzędy gminne, o czem pisał także zmarły niedawno Franciszek Magryś w książce „Żywot chłopa działacza“. Zapewne, pod względem uświadomienia narodowego inteligencji w porównaniu do zaborów, gdzie prześladowano polskość, b. Galicja ze swojemi dwoma Uniwersytetami polskimi, Politechniką, Akademją Sztuk Pięknych i t. p. uczyniła wiele; cenzury, takiej, jak w zaborach rosyjskim i pruskim, Galicja nie miała, to też książka wydana w Krakowie czy Lwowie, zwłaszcza książka o Polsce, na zabory wymienione działała ożywczo. Ale pijaństwo w b. Galicji kwitło, ciemnota mas istniała, analfabetyzm był olbrzymi, nędza niesłychana, 150.000 ludzi, przeważnie żydów, żyło tam z karczem. Jeszcze w r. 1836 było tam 4790 gorzelni (prawie w każdym folwarku) a w r. 1902 było w Galicji 21046 karczem, za to szkół ludowych 4.048, a więc mniej niż gorzelni. A gdy w r. 1910 rząd austryjacki zniósł propinację, to kraj zapłacił za nią właścicielom 124 miljony i 400.000 koron. Obłowili się właściciele propinacji. W Galicji panowała nędza niesłychana, rozumie się, że tę nędzę przypisywano Austrji, pisał o tem Stanisław Szczepanowski. Z tego wszystkiego, co wiemy o tym zaborze, możemy wnioskować, że tam karczma szerzyła spustoszenie, dla mas ludu była ona trucizną, dla właścicieli folwarków oraz dla miasteczek stanowił alkohol, źródło dochodu — niestety — zatrute. O zaborze pruskim wiemy niewiele, jednak i tam, jak to opisała pani Stefanja Bojarska, co i ja, bywając swojego czasu w Poznańskiem i na Pomorzu, widziałem, alkoholizm i „punkty rozdzielcze“ alkoholu — karczmy t. zw. „interesy“ kwitły w miastach zwłaszcza, karczmarz znowu był tam człowiekiem wpływowym, zazwyczaj „dobrym katolikiem“, który chętnie syna swojego słał do seminarjum duchownego, na księdza. A że tam nierzadko taki syn karczmarza w sutannie, pamiętając skąd wyszedł, niebardzo się kwapił potępiać fach swojego ojca, to się już rozumie. Od karczem wiejskich, przytraktowych, karczem we wsiach kościelnych i małomiasteczkowych — szynków i restauracyj, z kolei rzeczy przejdziemy do karczem w wielkich miastach, do t. zw. restauracyj pierwszorzędnych, w których się bawi „elita“, ludzie, co mają znaczenie wynikające najczęściej z dobrze wyładowanej kieszeni, a nierzadko ze sprawowanej władzy lub też wpływów — jako np. pisarze — a więc kierownicy opinji — w tych politurowanych karczmach wielkomiejskich, urządzonych wspaniale, gdzie się idzie na „pół czarnej“, ale też i na szampana i smakołyki. Zajdźmy do takiej knajpy, a przewodnikiem niech nam będzie publicysta Konrad Wrzos, a raczej jego książka „Oko w oko z kryzysem“ wydana w Warszawie w r. 1933, str. 322—3. Oto co nam opowie p. K. Wrzos: „przy 165 stołach „Adrji“

przy „złotym barze“ i w przejściach siedziała i stała publiczność, tamując drogę 60 rozbieganym kelnerom. 18 co najlepszych muzyków na dwie zmiany, od wczesnego wieczoru do białego ranka dmie bez wytchnienia w klarnety i trąby, wali w bębny i dwa fortepiany. Są dnie, w których miejsca niema nie tylko w przejściach, ale — co najważniejsza — na dancingu, gdzie para tłoczy się przy parze, zlewając się w jedną kołyszącą się masę. W podziemiach tego modnego lokalu mieści się do tysiąca osób, parter zaś, t. j. zwykła kawiarnia, mieści do pięciuset osób. A zatem w tem miljonowem mieście jest lokal przez który przelewa się dziennie (chyba nocą) 1.500 osób. Można tu całą noc spędzić za 1.50 albo 2.— zł. pijąc wodę mineralną lub „półczarnej“. Dawniej obrót nocny tego lokalu wynosił 30.000 złotych, ale teraz (1933 r.) już z soboty na niedzielę tylko 16.000 złotych. Warszawa liczy takich lokali 17 i 500 t. zw. lokali z wyszynkiem. Ale to są już kałuże dla małych karasi, wielkie jeziora dla wielkich ryb — szczupaków i t. p., to są te pierwszorzędne „lokale“, gdzie na dole można jeść, pić i tańczyć, a na górę można iść na zabawę do wesołych cór Koryntu, jak to zostało ujawnione na przewodzie sądowym w tym roku, przy sądzeniu sprawy pewnego młodego adwokata. Te „lokale“, te knajpy, te politurowane wielkomiejskie karczmy, są to najniebezpieczniejsze i najplugawsze jaskinie zepsucia, w nich ludzie nieraz noszący wielką odpowiedzialność zapominają o niej i idą na bezdroża występku i przestępstwa. Jakimże kosztem w tych kilkunastu lakierowanych karczmach bawi się wyborowa „elita“? I znowu nam to p. K. Wrzos pokaże: patrzaj narodzie! W bramach domów, wśród nocy, pod łodziami, nad brzegami Wisły, na przystaniach i w kabinach plażowych śpią bezdomni. Można ich spotkać na ławkach w Alejach, albo we wnękach domów i na klatkach schodowych, na strychach i w piwnicach, do których się zakradli przed zamknięciem bram BEZDOMNi, a inni gnieżdżą się gdzie mogą, po rozmaitych przytułkach lub też dogorywają w „hotelu pod wszą“ opisanym przez pisarkę nizin p. Wandę Wasilewską. Dwa światy — ci, co się bawią i ci, co za te zabawy zdrowiem, życiem i honorem płacą. Pójdźmy za tymi, co się bawią, poznajmy tych ludzi i niechno nas prowadzi w tej sprawie jaki znawca stosunków tych — politurowanych karczem. Uprawnieniem, do znalezienia się w takiej karczmie, która jest drogą, jest tylko pieniądz, ten, kto ma na to, może być bywalcem takich lokali, to też towarzystwo jest tam bardzo różne, od zwyczajnych utracjuszów aż do ptaków „niebieskich“ co się zewsząd zlatują, i w tych jaskiniach swoje sprawy, nieraz brudne, załatwiają. Mówiłem wyżej, że te politurowane — wielkomiejskie karczmy są bardzo szkodliwe i tak jest, a jest dlatego, że w nich znieprawiają się ci, co powinni świecić przykładem rozumu, umiarkowania i trzeźwości, a tymczasem tam znieprawiają się sumienia i mózgi, tępieją uczucia, i pod wpływem otoczenia i nastroju „sól ziemi“ psuć się zaczyna. A że ryba zaczyna cuchnąć od głowy, przeto zło, które tam ludzie nabywają, znaczy ich poczynania nieraz w skali klęsk natury nieosobistej. I dziwna rzecz, chłop na wsi, gdy się oświecił, uspołecznił, uzacnił — nogą nie wstąpi do karczmy, brzydzi się karczmą, za ujmę dla siebie uważa, żeby tam poszedł. Niestety — o inteligencji tego powiedzieć nie

można, ciągnie ją i wabi karczemny tłok, karczemne stosunki, rozumie się przemalowane na kolor pseudo-cywilizacji; a jakże często to życie „knajp", te wesołe „bibki" kończą się bardzo smutno. Kroniki sądowe miałyby tu dużo do powiedzenia.

Czasy obecne — pełne niepokoju, kiedy stary ład się wali, a nowy jeszcze nie powstał, zmuszają do rozwagi i zastanowienia się nad przyszłością.

W przeszłości pijaństwo zatruło naród, w teraźniejszości trzeba się z tej trucizny wyleczyć, a do tego karczmy są niepotrzebne — więc niech znikną, jaknajprędzej!

Tomasz Nocznicki.

AKTUALNE ZAGADNIENIE.

II.

Wobec zbliżającego się Zjazdu Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość", na którym należałoby powziąć decyzje co do projektu opieki nad uleczonymi alkoholikami i narkomanami, pozwalam sobie po raz drugi w tej sprawie zabrać głos.

Zdaniem mojem leczenie alkoholików i narkomanów, najlepiej prowadzone, nie jest wystarczające; należy pacjentów po opuszczeniu zakładu otoczyć najdalej idącą opieką. Kuracja w zakładach jest kosztowną i nie może być długotrwałą. Obserwujemy zjawisko, że chorzy bardzo niechętnie opuszczają zakład i niejednokrotnie zaraz prawie po wypisaniu rozpoczynają starania o powrót do zakładu, jeżeli nie w charakterze pacjenta, to w jakimkolwiek innym.

Nie śpieszno im wejść do normalnego życia, odczuwają bowiem oni, że świat dla nich jest zamknięty, że przyszłe życie muszą sobie urządzić inaczej.

Opieka nad pacjentami, opuszczającymi zakład, musi się rozciągać na okres o wiele dłuższy, niż sama kuracja, musimy się więc liczyć z bardzo wielką liczbą pupilów, którzy bez tej opieki nie mogą się obejść. Wielka różnorodność typów, którym opieki należy udzielić, musi wpłynąć na zorganizowanie bardzo różnorodnych zakładów, aby mieć możność tak ich dobierać, żeby oni wzajemnym wpływem nie utrudniali współżycia, a przeciwnie, oddziaływali korzystnie na swoje otoczenie.

Wydaje mi się, że zakłady wiejskie będą do tego celu najodpowiedniejsze i myślę, że zorganizowanie niewielkich gospodarstw (jedno, dwu-włókowych) zupełnie do tego celuby się nadawało.

O ile wiem, Ministerjum Rolnictwa nie robiłoby trudności, aby takie objekty gospodarcze przekazywać Ministerjum Opieki Społecznej, a to ostatnie mogłoby je przeznaczać na cel wyżej wymieniony. Cała trudność polega na wyszukaniu i wskazaniu podobnych gospodarstw, gdyż poszukiwań należy dokonywać na miejscu. Starania muszą być rozpoczęte w Województwach, objekt winien być upatrzony, — trzeba się dowiedzieć, czy Województwo nie ma już jakichś konkretnych projektów, uzyskać przychylną opinję miejscowych władz, obliczyć się z naszemi siłami, a przedewszystkiem, czy znajdą się na miejscu działacze, którzyby roztoczyli serdeczną opiekę nad nowopowstającym zakładem,

czy są w najbliższej okolicy lekarze psychjatrzy, na których pomoc możnaby było liczyć, słowem, należy pracę organizacyjną rozpocząć z dołu.

Rozumie się, że przy samych zakładach leczniczych (Świack i Gościejewo) również winny powstać zakłady tego samego typu, aby w nich odbywała się praca przygotowawcza, polegająca na początkowem wyszkoleniu uleczonych, przysposobieniu ich do pewnego fachu i zakwalifikowaniu na czas dłuższy do zakładów opiekuńczych specjalnych, które przy dobrej organizacji mogłyby być samowystarczalne.

Aleksander Iżycki.

Z DZIEJÓW OBYCZAJU W POLSCE.

Końcowy rozdział książki swej „Mroki Średniowiecza" dr. Józef Putek [1]), poświęcając go całkowicie zagadnieniu pijaństwa, rozpoczyna słusznie od tak znanych słów Stanisława Staszica, który w swych „Przestrogach dla Polski" charakteryzował chłopa z drugiej połowy XVIII w. w sposób następujący: „Pięć części narodu polskiego stoi przed memi oczyma. Widzę miljony stworzeń, z których jedne pół nago chodzą, drugie skórą, albo siermięgą okryte; wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe; mając oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznemi piersiami bezustannie robią. Posępne, zadurzałe i głupie, mało czują i mało myślą — to ich największą szczęśliwością. Ledwie w nich dostrzec można duszę rozumną. Ich zwierzchnia postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza, niźli do człowieka. Chłopi ostatniej wzgardy nazwiska mają. Tych żywnością jest chleb ze śrótu, a przez ćwierć roku samo zielsko; napojem woda i paląca wnętrzności wódka... Dobrzy Polacy, oto rozkosz tej części ludzi, od których los waszej Rzeczypospolitej zawisł! Oto człowiek, który was żywi! Oto stan rolnika w Polsce!"

Istotnie wybornie dobrana cytata, której słuszność wymownie potwierdzają dalsze wywody autora, oparte zawsze na źródłach poważnych, sięgających owych czasów odległych.

A więc przedewszystkiem ciekawą jest historja karczem w Polsce. Oto ich dzieje, (oparte w znacznym stopniu na Bobrzyńskim). „Już Bolesław Chrobry, fundując arcybiskupstwo gnieźnieńskie około roku 1000-go, uposażył je także w dziesięcinę karczem. Jeden z najdawniejszych przywilejów, na którym zasadzała się fundacja klasztoru w Trzemesznie z r. 1145, przewidywał własność karczem dla klasztoru. Różne starodawne spisy posiadłości klasztorów i kościołów wymieniają karczmy, jako darowizny, złożone przez książąt, czy panów. Często karczma, lub część jej dochodów oddzielona zostaje od dóbr książęcych czy pańskich, aby przyczyniała się do utrzymania klasztoru, czy probostwa. W tym okresie historja karczem jest częścią historji kościelnej. Długosz, który w 1470 r. spisywał „Księgi uposażeń", starannie uwidocznił w nich, gdzie, przy jakim kościele, ile znajdowało się karczem kościelnych. Z ak-

[1]) Dr. Józef Putek: „Mroki Średniowiecza". Kraków, 1935. Nakładem autora. Str. 198.

tów wizytacyj biskupich też wiadomo, że niejeden proboszcz, zamknąwszy po nabożeństwie „tabernaculum“ w ołtarzu, odmykał „tabernę“ (karczmę) w budynku plebańskim, w której sam, lub też jego służba, piwo, miód i okowitę sprzedawała“.

„Obok karczem książęcych i kościelnych istniały karczmy pańskie, nadawane pierwotnie panom z mocy przywilejów książęcych, a następnie traktowane, jako „pożytek“, związany z posiadaniem dóbr ziemiańskich. „Pożytek“ ten niekiedy oddzielany bywał od gruntu — tak np. jak dzisiejsze „prawo naftowe“ — i pozbywany na rzecz osób trzecich“.

„Tą drogą pozostały wolne karczmy chłopskie. Przywileje na takie karczmy wykupywali chłopi od panów wsi, lub od starostów w królewszczyznach, albo też sołtys otrzymywał przy lokacji wsi przywilej propinacyjny od księcia lub pana. Podobne przywileje nadawano też wybrańcom, lokowanym na łanach wybranieckich“.

„Przywilej propinacyjny najbardziej powszechnym był w miastach. Nadanie miastu wolności, handlu i targu mieściło w sobie także nadanie każdemu mieszczaninowi wolności sporządzania trunków i ich szynkowania. Ta wolność przetrwała aż do 1767 r. t. j. do chwili, gdy ustawa wolność tę ograniczyła z tego powodu, że w wielu miastach „dla wolności każdemu mieszczaninowi robienia i szynkowania trunków handle i rzemiosła upadły, gdy ledwie nie wszyscy samą tylko bawiąc się propinacją, potem się rozpijają, a tem samem kupiectw i rzemiosła zarzucają, przedmieszczanie zaś roli nie pilnują“. „Z tego też powodu specjalne komisje ograniczały ilość browarników i karczmarzy w miastach proporcjonalnie do liczby mieszkańców miasta“.

Jak to już ta ustawa, prawie z przed dwustu lat, wykazała rozumną troskę o los obywateli, którzy pod wpływem alkoholu zatracają więź, niezbędną w życiu zdrowego społeczeństwa, jaką stanowi pełne uzdolnienie do p r a c y. Im dokładniej się zapoznajemy z historją obyczaju pijackiego, im wszechstronniej badamy nie tylko historyczną, ale i psychologiczną stronę tego zagadnienia, tem słuszniejszą się staje myśl Joachima Lelewela, wypowiedziana przez niego w tomie drugim jego pism [1]): „Nie zawsze dość łatwo i najczystsze prawdy do wziętości przychodzą; przesądy z najwyższą zaciętością stają im na zawadzie. Długiego czasu, częstego prawd powtarzania potrzeba, nim staną na równi z przeciwnym sobie oddziaływaczem“. Całymi wiekami narastał ów zgubny obyczaj, około którego zgęszczona atmosfera przesądu wytwarzała jakgdyby rodzaj zarazy, złośliwej epidemji, napastującej ogół z zachłanną zawziętością, a z nieubłaganą bezwzględnością drwin i szyderstw, miotającej pogardę dla nielicznych śmiałków, którzy przestrzegali przed niebezpieczeństwem zagrażającem całej społeczności. Skutecznie walczyć z obyczajem złym, może tylko nowy obyczaj, o ile zacznie się go wprowadzać bezwzględnie i odważnie, z poczuciem wytwarzania odmiennej struktury całego zespołu czynników, kształtujących nową postać życia. Bo usunięcie alkoholizmu obyczajowego, czyli zastrzyknięcie życiu społecznemu nowych dawek sił psychicznych i fizycznych, zmieni niewątpliwie jego oblicze w kierunku dodatnim. W innem miejscu obszer-

[1]) „Polska wieków średnich czyli Joachima Lelewela w dziejach narodowych polskich postrzeżenia“. Tom II. Poznań, 1856 r. Str. XXV+495.

niej zajmę się tym tematem — tu tylko podkreślam szerokie perspektywy, ku którym drogę toruje tak nierozumiana przez wielu i tak „śmieszna“ jeszcze dla wielu, tak „utopijna“ i „manjacka“ walka z alkoholizmem.

Michał Bobrzyński w pracy swej o prawie propinacyjnem [1]), sięgając czasów odległych, pisze, że „miód i piwo, to były dwa narodowe napoje, które legenda łączyła już z postrzyżynami Ziemowita przez Piasta. Ciekawa jednak rzecz. Najstarszy nasz, bo w końcu XI-go wieku żyjący kronikarz Gallus, opowiada tylko o piwie, które Piast na ucztę przygotował, a które „goście“ jego cudownie pomnożyli, nic zaś nie wspomniał o miodzie. Błąd ten naprawia jednak Boguchwał, kronikarz, żyjący w wieku XIII. Według niego zgromadzeni na elekcję wypili wszystko piwo, a Piast wysycił w swym domu tylko trochę miodu i ten miód pomnożony cudownie wystarczył dla całej rzeszy i zapewnił koronę Piastowi. Mimo tego zdaje się jednak, że piwo zwane stale „cerevisia“, odgrywało przecież w Polsce średnich wieków rolę główną, o niem bowiem najczęściej mowa w źródłach. Największym smakoszem piwa był Leszek Biały, który, prosząc Papieża o zwolnienie go od dopełnienia ślubu krucjaty, podał za przyczynę, że w gorących krajach braknie mu piwa“.

Karczma stanowiła wówczas ośrodek handlu i życia wiejskiego. Bobrzyński w innem miejscu tej samej pracy pisze: „Z karczmą i wyszynkiem łączy się jednak na wsi zwykle jatka rzeźnicza i piekarska ze sprzedażą mięsa i chleba, a czasem także sprzedaż obuwia i kuźnia. Wspominają o tem przywileje lokacyjne wsi na prawie Niemieckiem od XIII wieku“.

„Czytamy tamże, że we wsiach założonych na prawie Niemieckiem sądy gminne odbywały się w karczmie, a co ciekawsze, biskupi i synody kościelne nietylko walczyć musiały z duchowieństwem, uczęszczającem do karczem, ale zakazywać, ażeby duchowni sądów kościelnych w karczmie nie odprawiali i w zawieraniu małżeństw nie brali udziału“.

Pragnąc podać skrót historji rozwoju prawa propinacyjnego, powracam znów do pracy dr. Józefa Putka i cytuję urywki z niej, gdyż one w znakomicie zwartej formie zawierają najistotniejszy materjał.

„W drugiej połowie XV w. karczma stała się przedmiotem zainteresowania władz skarbowych. Chodziło im o podatki na cele państwowe. Najłatwiej podatki te dały się uchwycić w miastach królewskich, to też starostowie przez odpowiednie praktyki fiskalne zniewolili panów, klasztory, proboszczów, sołtysów i panów - karczmarzy, nie posiadających własnych browarów do zaopatrywania się w trunki w miastach królewskich. Szlachta, podrażniona temi praktykami, przeprowadziła na Sejmie w 1496 r. przywilej wolności propinacyjnej dla stanu szlacheckiego i posiadaczy przywilejów karczmarskich. Postanowiono w nim: „panów dóbr i ich poddanych zachować w tej wolności, że wolno każdemu piwa i inne napoje skądkolwiek brać i sprowadzać, oraz we wsiach i innych miejscach dzierżenie ich warzyć, lub warzyć kazać i skąd-

---

[1]) Michał Bobrzyński: „Prawo Propinacyi w Dawnej Polsce“. Kraków. 1888. Str. 74.

kolwiekby woleli, albo chcieli wziąć, mieć je, szynkować i używać swobodnie bez wszelkiej obawy zakazu, zajęcia lub kary ze strony króla lub starostów". „Jakkolwiek przywilej powyższy dotyczył także karczmarzy - sołtysów, proboszczów i kmieci, to jednak z biegiem czasu, gdy poddaństwo chłopskie przybrało formy niewoli, zniknęli ci karczmarze, gdyż zniszczeni zostali z jednej strony przez fiskalne praktyki rządu, z drugiej strony przez konkurencję karczem szlacheckich, wspieranych zarządzeniami szlachcica - propinatora, który jako wyłączny prawodawca i rządca chłopów, umiał z tej władzy dla własnego bogacenia się korzystać".

„To też w XVII i XVIII wieku propinacja przybrała wyraźne cechy monopolu wyłącznie szlacheckiego. W szczególności:

„1. Propinacja związana była z posiadaniem dóbr ziemskich, w wolnych miastach zaś z przynależnością do stanu mieszczańskiego, a polegała ona na monopolu warki piwa, sycenia miodów, palenia okowity i pędzenia innych likworów, tudzież sprowadzania trunków z miejscowości, w których je wytwarzano. Często prawo to łączyło się z zastrzeżeniem, że w obrębie mili od granic majątku uprzywilejowanego propinatora nie wolno konkurencyjnej produkcji i sprzedaży trunków prowadzić, lub że nikomu nie wolno na szkodę uprzywilejowanego szlachcica, czy też mieszczan trunków wytwarzać, wprowadzać i sprzedawać".

„2. Z monopolem fabrykacji alkoholu łączył się także monopol sprzedaży hurtowej i drobnej trunków, czyli szynkowania, w czem mieściło się prawo propinatora do zakładania karczem na terenie jego dóbr i obsadzania ich karczmami".

„3. Dla wsparcia powyższych monopolów dworskich, wykorzystywane było poddaństwo osobiste chłopów, którym propinator pod karami zakazywał picia alkoholowych napoi w obcych karczmach i sprowadzania dla swej potrzeby trunków z obcych karczem i browarów".

„4. Nadto propinatorzy wprowadzali przymus zakupywania w ich browarach i karczmach napojów alkoholowych, wyznaczając poddanym swoim kontyngenty, które wykupić byli zobowiązani".

„5. Należytości za te kontyngenty, jak i zaległości za kredytowaną w karczmach wódkę, propinatorzy traktowali jako zaległości w zapłacie danin publicznych i dla ich wyegzekwowania udzielali karczmarzom i pachciarzom bez wyroków sądowych pomocy egzekucyjnej w charakterze zwierzchności nad dworskimi poddanymi".

„Najmniej dokuczliwym był ucisk propinacyjny w królewszczyznach. Poddaństwo gruntowe i osobiste w królewszczyznach nie rozwinęło się tak, jak we wsiach szlacheckich". „Ponadto ucisk propinacyjny zmniejszała okoliczność, iż w królewszczyznach ilość posiadaczy przywilejów propinacyjnych była znaczna. Każdy prawie posiadacz wójtostwa, sołtystwa, czy wybraniectwa, a także każde miasto królewskie, dostawało przywileje propinacyjne, których eksploatacja obliczona była nietylko na własnych poddanych poszczególnej uprzywilejowanej jednostki gospodarczej, ale na każdego przygodnego człowieka, bez względu na to, z jakich dóbr pochodził i czyim był poddanym. Istniał więc wyścig konkurencyjny o pozyskanie gardzieli ludzkich celem zatruwania ich „liquorami" za odpowiedniem wynagrodzeniem. Również między

poszczególnemi „państewkami“ szlacheckiemi, oraz królewskiemi i kościelnemi istniał wyścig wzajemnego wykradania sobie propinacyjnej klienteli. Konkurencję tę próbowano ograniczyć ustawowo w 1767 r., postanawiając co następuje: „aby sąsiad sąsiadowi zniżeniem ceny trunków krzywdy nie czynił, zalecamy, aby podwojewodowie cenę trunków krajowych sprawiedliwie ustanawiali“.

Jakżeż niedaleko odbiegliśmy pomysłowością w ułatwianiu obywatelom rozpijania się, od naszych pra-pradziadów! Już oni bowiem rozumieli, że niska cena może być czynnikiem przynoszącym większy dochód temu, kto ją naznaczy — dziś zaś, monopol spirytusowy, wszechwładny wytwórca i sprzedawca wyrobów alkoholowych na obszarze Polski, całej ludności ułatwił nabywanie wódki, wprowadzając owe małe buteleczki, tak gorliwie nabywane, przedewszystkiem przez ludność głodną, bezrobotną, najtragiczniej dotkniętą klęską bezrobocia i kryzysu. Przecież nie znajdą się one na stole bogatych konsumentów, lecz zaniosą je do nor miejskich, czy lepianek wiejskich ci, którzy wyglądem nie różniąc się od swych przodków, opisanych tak wymownie przez Staszica, są od nich o tyle nieszczęśliwsi, że zaczynają myśleć i czuć dramat swego istnienia. Jest jakiś fatalizm w ciągłości rozwojowej obyczajów alkoholowych, które, zachowując całą swą grozę destrukcyjnego działania, niesłychanie plastycznie umieją przylgnąć, umieją się zespolić z całym współczesnym aparatem gospodarczo-skarbowym, służąc jego chwilowym interesom, wbrew istotnym i najgłębszym potrzebom żywych organizmów ludzkich, stanowiących podstawę i opokę bytu państwowego.

„We wsiach szlacheckich propinacja inną przybrała postać. Dziedzic wsi nie tylko jest producentem alkoholu, ale jest też szynkarzem. Wsie szlacheckie cechuje przechodzące w niewolę poddaństwo osobiste, sądowe i gruntowe.To też pan ogranicza swobodę chłopa nawet odnośnie do zaglądania do sąsiedzkich wsi i wstępowania do karczem sąsiada szlachcica, czy do chłopskich karczem we wsiach królewskich, czy kościelnych. Picie w obcych karczmach zabronione jest pod najsurowszemi karami, a jak o tem świadczą ustawy „państwa suskiego“, szynkarz pański naraża się na wypędzenie ze wsi i konfiskatę majątku, gdyby odważył się cudzą wódką szynkować. Monopol propinacyjny wspierany jest przez dwór przymusem wykupienia wyznaczonego zgóry kontyngentu trunków, a także, o ile dwór ma chłopu płacić za jakieś świadczenie wynagrodzenie, to płaci je asygnatami na pobór lichych i drogich trunków w browarze, czy w dworskiej karczmie“.

Trudno chyba o bardziej jaskrawe przykłady owego „prawnego“, a więc pozory lojalności mającego, gwałtu jednych — możnych i dufnych w swą moc, nad zahukaną, zniewoloną większością ciemnych i biernych mas włościańskich.

Jeśli się ogarnie całość prawa propinacyjnego w dawnej Polsce, to się widzi, że obecny monopol spirytusowy jest instytucją nawskroś rodzimą, opartą na kilkowiekowej tradycji. Dlatego zapewne tak trudno jest jej wyrzec się alkoholu na cele spożycia, zamiast skierować swój zbyt na drogę zastosowania przemysłowo-technicznego, o czem już mówiła i pisała prof. Dr. Zofja Daszyńska-Golińska [1]). Polska produ-

[1]) „Walka z alkoholizmem nie z alkoholem“. „Trzeźwość“ Nr. 4—6. 1933.

kuje (1927-28) w ogólnej produkcji 661.000 hl., w tem na trunki 437.000 hl., na cele techniczno-przemysłowe 98.000 hl. = 14,7%. Niemcy 2790.000 hl., na trunki 840.000 hl., na cele tech.-przem. 1775.000 = 63,3%.

Dr. Józef Putek pisze, że „w średniowieczu w karczmie wszystkie stany były równe. Nawet tak uprzywilejowany i uświęcony stan duchowny uczęszczał do karczem, gdzie z chłopami, mieszczanami, szlachtą pił i grał w kości, a także sam trudnił się szynkarstwem".

Takiemu stanowi rzeczy starały się zapobiec synody duchowne, które w rozmaitych latach i rozmaitych djecezjach zakazywały duchownym pić w karczmach. „W ten sposób powoli ustawodawstwo kościelne wyparło kler z karczem. Pozostali w nich jeszcze szlachcice i chłopi. Z biegiem czasu usuwa się z karczem szlachta, zanika dawny zwyczaj „bratania się" stanów przy piwie i miodzie, przepisy zaś ustawowe ugruntowują nowy obyczaj pogardzania chłopem — także i w karczmie, niepogardzania jednak zyskiem, jaki się ciągnie z tego chłopa".

„Konstytucja z 1576 r. ujęła w formę prawa pisanego zwyczajowe prawo województwa mazowieckiego, zakazujące szlachcie obcowania w karczmie z chłopami. „Szlachcice — według tego prawa — w karczmie nie mają bywać, gdy im po woli umyślnego obcowania miewać ani z kmiotkami w rząd siedzieć i piwa pić przystoi". Zranienie, a nawet zabicie w karczmie szlachcica, pijącego z chłopami, uchodziło chłopom bezkarnie. Prawo bowiem postanawiało: „jeśliby szlachcicowi tak w karczmie umyślnie w rzędzie z chłopy siedzącemu, będącemu i pijącemu przydało się, żeby przez kmiotka abo kmiotki ubił abo ranion był, gdy to uczyni on kmiotek, od wszystkich win i płacy onego bicia będzie wolen skutecznie od wszystkiego". Ta zasada prawna utrzymywała się w zdaniu „nie masz w karczmie pana" aż do końca Polski szlacheckiej. Ta „wolność" była równocześnie miarą pogardy, jaką żywiła szlachta do chłopów i szlachciców, którzyby z chłopami w towarzyskie stosunki wchodzili".

Miarą, do jakiego stopnia dochodziły samowola i bezprawie niektórych właścicieli prawa propinacyjnego i ich dzierżawców były, niestety, nader liczne fakty przymuszania poddanych do zakupu pewnej ilości wódki rocznie, co w niesłychany sposób przyczyniało się do rozpajania ludności. Wskazywał już na to np. Ignacy Krasicki, a dr. Józef Putek przypomina, że w Małopolsce „petentom z 1775 r. zakazano przymuszania chłopów do wykupywania wyznaczanych im przez dwór kontyngentów wódki. Patentem z 24 kwietnia 1783 r. zakazano szynkowania wódki na kredyt, a tem samem egzekwowania chłopów za długi karczemne. Rozporządzeniem z 13 listopada 1788 r. zniesiono obowiązek chłopów do zaopatrywania się w dominjum w trunki, a odtąd chłopi mogli na domową potrzebę sprowadzać trunki, skąd chcieli. Jako resztka prawa propinacyjnego pozostała jeszcze dworom wyłączność produkcji alkoholu na swoim terenie i monopol zakładania w swych wsiach karczem i szynkowania w nich trunków". „Śmierć propinacji wyznaczyło ustawodastwo krajowe na dzień 31 grudnia 1910 r. Z tym dniem skonać miała sędziwa instytucja, która przez blisko 900 lat truła lud i wzbogacała dorobkiem pracy jego wszystkie inne stany. Złożenie szczątków jej do grobu rozwiązywało dotychczasowy „pachciarski" stosunek między

właścicielami obszarów dworskich i prawa propinacji a „arendarzami" karczem. Przemysł szynkarski stał się z dniem 1 stycznia 1911 r. przemysłem koncesjonowanym, dobrodziejem zaś, nadającym owe koncesje, stał się rząd".

W książce dr. Józefa Putka ważnem jest osobiste nastawienie autora w stosunku do zagadnienia alkoholizmu. Z licznych wypowiedzeń, rozsianych to tu, to tam, poznajemy bojowy temperament pisarza, który bynajmniej nie jest tylko badaczem dziejów, lecz ustosunkowuje się do nich krytycznie, przedewszystkiem dlatego, że historja picia i rozpajania jest jaknajściślej złączona z życiem społecznem. I właśnie dlatego jest ona cenną dla współczesnego ruchu przeciwalkoholowego, że posiada owo zdecydowane, uzasadnione, negatywne ujęcie odwiecznego obyczaju. Skoro pisze, że „karczma była jednym z fundamentów chłopskiej niewoli i środkiem do utrzymania chłopa w uległości i pokorze"—

skoro stwierdza: „że propinacja i karczma stała się instytucją, w której chłopu pozostawiono jedyną wolność picia i zatruwania się alkoholem, która to wolność była interesem dochodowym szlachcica , plebana i klasztoru" —

skoro konstatuje, że „obok pańszczyzny była to druga forma odbierania chłopu dorobku jego pracy" —

to czytelnik sądzi, że człowiek tak piszący wszystkie swe myśli i potępienia skierowane ku przeszłości realizuje w świadomej, wytężonej pracy nad szerzeniem w społeczeństwie trzeźwości, jako podstawy do ogólnego odrodzenia warunków społecznych. Dziś bowiem przeżywamy taką „osobliwą" chwilę, że słowo drukowane, mające w sobie aktualność zagadnień życiowych, musi się jednocześnie przejawiać w czynie osobistym, codziennym, zawodowym każdego, kto je głosi. Dziś niema czasu, nie ma miejsca na frazesy, którym przeczyłaby rzeczywistość — dziś wszystko, co się głosi, musi się skonfrontować z pozycją „czynioną" w obrębie środowiska, w którem się znajdujemy. W przeciwnym razie sam piszący przekreśla to, co napisał — wypuszcza krew pulsującą ze swej pracy — gasi ogień, którym mógłby innych rozpłomienić. Autor rozdziału zatytułowanego „Truciciele ciał i dusz", w swej pracy zawodowej i społecznej urzeczywistniając robotę wychowawczą w duchu szerzenia idei trzeźwości, jako podstawy do ozdrowienia stosunków społecznych w duchu prawdziwego demokratyzmu i humanitaryzmu, sprawia, że książka jego nabiera rumieńców życia, płynących z jego indywidualnych, cennych, twórczych pierwiastków. Stronnictwa ludowe powinny w swej działalności społeczno-oświatowej prowadzić planową, zorganizowaną na naukowych podstawach opartą walkę z alkoholizmem, gdyż w przeciwnym razie nie przeprowadzą reform sięgających głęboko, nie wyrobią myślącej, czynnej, samodzielnej warstwy włościańskiej, nie uczynią z niej prawdziwie wolnych, pełnowartościowych obywateli, nie wyzwolą jej z niedoli, bierności i ciemnoty. Absurdem byłoby coś potępiać w przeszłości, a w teraźniejszości czynnie, energicznie z tem nie walczyć. Rozdział „Truciciele ciał i dusz" z książki dr. Józefa Putka wyraźnie i gorąco nakazujący walczyć z pijaństwem, spełnia w ten sposób czyn obywatelski.

Jednocześnie prawie z książką Dr. Józefa Putka ukazała się pra-

ca Dr. Antoniego Górskiego, napisana w 1910 r. ,a wydana obecnie przez żonę p. t. „Cnoty i Wady Narodu Szlacheckiego“ [1]). Pisał ją poseł do parlamentu wiedeńskiego i sejmu lwowskiego, w poczuciu, że „trzeba przedewszystkiem znać prawdę, a przeszłość kochać nie na podstawie jej idealizowania, ale pomimo tych smutnych rysów, które ona zawiera i któremi nas aż do dzisiejszego dnia obciąża“.

Jakżeż właśnie bliskie są mi te słowa, gdyż „obciążenie“ alkoholowe, będąc niesłychanie ciężkiem, komplikuje sprawę walki z tą klęską w teraźniejszości, a poznanie całej prawdy obyczaju pijackiego w jego historycznym przebiegu wyświetla wiele stron tego zagadnienia, które mogłoby być dla nas niejasne. Owa potrzeba poznania „prawdy“ staje się naglącą i pilną zarówno u ludzi zajętych teoretycznemi dociekaniami w jakiejkolwiek dziedzinie, jak i u tych, którzy prowadzą pracę społeczną, opartą na podstawach etycznego przeobrażania pojęć i nawyków całego społeczeństwa. Dr. Antoni Górski kreśli pewne rysy obyczajów w Polsce, — przedstawiając „polską tężyznę i wykazując jak ona przeradza się w warcholstwo, przedstawia stosunki rodzinne, rolę niewiast, dobroczynność, a w ostatnim rozdziale główną przyczynę naszego upadku, główne źródło prywaty, żądzę nagród“.

Pragnąc się trzymać jaknajściślej obranego tematu, powołam się tylko na niektóre urywki tej książki, odnoszące się do stosunku do chłopów, do egoizmu szlacheckiego i do pewnego naszego partykularyzmu myślowego — muszę natomiast z żalem podkreślić, że autor, w przeciwieństwie do dr. Putka, nie wspomniał ani słówka o obyczajach pijackich, które, gdy mowa jest o warcholstwie, aż same się narzucały swą tragiczną nieraz wymową. Górski się skarży na prywatę, na ciasnotę poglądów, na brak charakterów, szerokich poglądów i zainteresowań, a jednocześnie pomija milczeniem wielowiekowe rozpajanie ludności wiejskiej i miejskiej, oraz wielowiekowe dobrowolne, radosne, z tężyzny płynące, niepohamowane picie sfer posiadających.

Górski się skarży, że „od połowy XVI w. do schyłku XVII w. nie było w Polsce dwóch rzeczy. Po pierwsze indywidualności na wysokich stanowiskach tak czystych i tak potężnych, żeby im towarzyszyło bezwzględne zaufanie i ścisły posłuch wielkiej większości narodu, druzgoczący z żywiołową siłą wszelkie wątpliwości, wszelkie złe podszepty i wszelkie egoistyczne rozdźwięki. Powtóre nie było w tej epoce w Polsce pracy zbiorowej, bez której najpiękniejsze indywidualne porywy są tylko błyskiem, który nie daje światła, ani ciepła“.

W jakiż sposób miała się wytworzyć zbiorowość społeczna, uzdolniona do realizowania dodatnich czynników życia, skoro mieliśmy masę szlachecką ciemną, zawadjacką, buńczuczną i... przepitą, jak to zobaczymy przy końcu tego szkicu, z niesłychanie doniosłej dla nas pracy prof. Bystronia. Zdumiewającą jest rzeczą, że pisarz, operujący tak bogatym materjałem rzeczowym i tak słuszne wyprowadzający zeń wnioski, jak Górski, nie zastanowił się nad znaczeniem pijaństwa w naszych

---

[1]) Antoni Górski: „Cnoty i wady narodu szlacheckiego“. Szkic historyczny. Warszawa, 1935. Nakładem Antoniowej Górskiej. Str. VIII+180.

obyczajach, mimo, że wszyscy niemal cytowani przezeń pisarze w tej, czy innej formie o niem mówią.

W innem miejscu żali się Górski, że „ktokolwiek patrzył jasno w przyszłość, zgorzkniały usuwał się w zacisze domowe, bo tłumu ani przegłosować, ani przekrzyczeć nie mógł. A tymczasem ten tłum szalał; tak jest, szalał czy w gwałtownych wybuchach rokoszu, lub wojny domowej, czy w powszedniości domowego zacisza, bo inaczej nie można nazwać tej feralnej tragedji omyłek, która od bezkrólewi opętała większość polskich umysłów i ciągnie się poprzez epokę rozbiorów jeszcze długo, bardzo długo".

Niewątpliwie ów nagminnie panujący obyczaj pijacki miał udział swój w wytworzeniu się tak groźnej rzeczywistości. Unikam wszelkich barw przejaskrawionych w odmalowywaniu skutków pijaństwa—daleka jestem od twierdzenia, że wszystko zło, które nas niszczyło, płynęło wyłącznie z tego źródła, — ale im więcej czytam, im dokładniej poznaję autorów dawnych, tem pewniej i swobodniej mogę twierdzić, że alkoholizm powszechny psuł to, co w każdym narodzie jest najcenniejsze: charakter, swobodę, jasność myśli i krytycyzm sądu. Nie umieliśmy, nie chcieliśmy myśleć samodzielnie — woleliśmy ten trud na inne barki składać. Tu źródło, tu przyczyna wszelakiej niewoli, wszelakiego fanatyzmu i ciasnoty. „Rozczulano się nad przyswojonemi ojczystej literaturze sielankami, a uciskano i wyzyskiwano lud wiejski; jak w dogmat wierzono twierdzeniu, że Polska nierządem stoi, a nie umiejąc tego twierdzenia uzasadnić, bluźnierczo przypisywano wrzekomą nieszkodliwość tego nierządu „partykularnej nad Polakami prowidencyi boskiej kurateli"; wierzono, że życie publiczne stoi nagrodą i karą, a do nagrody przedstawiano królom rokoszan i zdrajców; piorunowano na wrzekomo absolutną władzę królów, a podkopywano ją tak, że w ręku króla ledwie cień władzy pozostawał; potępiano Macchiavela, jak później potępiano tak zwany jezuityzm, a nimbem zacności otaczano mówców, którzy rzeszy szlacheckiej schlebiali, błędy uniewinniali, lub, jak Andrzej Maksymiljan Fredro, mimo zasług, czystości charakteru i rozumu, uczyli obłudy w polityce".

Umieliśmy więc konstatować smutną prawdę, że Polska „stoi nierządem" i stać nas było tylko na szamotanie się w poczuciu własnej bezsilności, strojonej w nimb wiary w specjalną, nadprzyrodzoną opiekę nad naszym narodem. „Skorupa egoizmu", w którą porastaliśmy z biegiem wieków, stawała się pancerzem odbijającym słowa wybitnych jednostek, a echo je tylko niosło w pustkę, milknąc czemprędzej, nie budząc żywego oddźwięku.

Pełno w książce Górskiego rozrzuconych skarg, potwierdzających zastraszającą ciasnotę umysłów masy szlacheckiej: „drobna szlachta źle lokowała swoje sympatje, a jej wybrańcy obracali się w ciasnem kole spraw partykularnych i nie umieli objąć ogółu potrzeb państwa". Są to refleksje autora wysnute z literatury, z dzieł przestudjowanych i przemyślanych — są to zarazem, niestety, zawsze aktualne niebezpieczeństwa, zagrażające każdemu zbiorowisku ludzkiemu, o ile się ono będzie dawać ogłupiać i otumaniać bezmyślnemu obyczajowi picia. I dlatego to wszyscy ci, dla których ideał prawdziwej, istotnej wolności jest

drogi, wobec współczesnego stanu wiedzy o społecznej klęsce alkoholizmu, muszą walkę z nią włączyć do podstawowych zasad swego programu.

Książka Górskiego, mimo, że nie mówi nic o alkoholizmie, przez samo stwierdzenie ujemnego bilansu naszej umysłowości, przez skonstatowanie szeregu wad, jest argumentem do walki z obyczajem pijaństwa, który, jak wiemy, współdziałał takiemu stanowi w dużym stopniu.

„Odwagi myśli i odwagi prawdy nie było"; tak mówił Józef Piłsudski na zjeździe Legjonistów w Kielcach w 1926 r. Te słowa Wielkiego Zmarłego niech będą dla nas Jego testamentem: „miejmy odwagę myśli i odwagę prawdy", a wiele zła, bezprawia i ciemnoty zastąpione będzie dobrem, sprawiedliwością i mądrością.

Hanna Nałęcz - Ostrowska Szymańska.

(Dalszy ciąg nastąpi)

200-LECIE URODZIN IGNACEGO KRASICKIEGO.

W roku bieżącym Polska ma obchodzić rocznicę 200-lecia urodzin „Księcia poetów", Ignacego Krasickiego, najwybitniejszego pisarza epoki Stanisławowskiej.

IGNACY KRASICKI (1735—1801).
(Według sztychu A. Oleszczyńskiego).

Krasicki przyszedł na świat dn. 3 lutego 1735 r. w Dubiecku, rodowym majątku Krasickich. Przeznaczony od dzieciństwa na księdza, dzięki koligacjom rodzinnym i zdolnościom własnym, szybko osiągnął wysokie stopnie karjery duchownej i już w r. 1766, mając lat 31, został biskupem Warmińskim; w sprawie nominacji na katedrę Warmińską, decydującą rolę odegrał król Stanisław August, który wysoko cenił zdolności poetyckie Krasickiego.

Krasicki zaczął pisać wcześnie, ale większość prac swoich ogłaszał bezimiennie, lub pod skromnym i mało pozornie mówiącym podpisem z trzech liter: x. b. w. — a jednak podpis ten znany był w całej Polsce, bo krył się pod nim: Książę Biskup Warmiński, — X. B. W. miał ogromny wpływ na społeczeństwo współczesne. Jego talent, lekkość stylu, nowość i wytworność formy, giętkość, elegancja i bogactwo języka, myśl krytyczna, umiejętnie podana — wszystko razem sprawiało, że Krasicki miał ze wszystkich pisarzy swej epoki wpływ największy.

„Był on, — jak pisał Kraszewski, — pierwszy po wiekach, którego głosu słuchały chciwie tłumy, który był popularny, ukochany i uznany".

Pisma jego, pochłaniane przez ogół czytający, najsilniej torowały drogi reformom politycznym, społecznym i obyczajowym. Jego satyra, jego ironja więcej zdziałały, niż dziesiątki i setki mów politycznych i rozpraw teoretycznych.

To było żywe słowo, rozbijające twarde i zaśniedziałe mury ciemnoty i wstecznictwa obyczajowego.

Słusznie Kraszewski zauważa, mówiąc o życiu szlachty naszej: „Nie obwiniajmy instytucyj, choć i w nich tkwi wiele przyczyn upadku; daleko silniejszą ruiny dźwignią było obyczajów zepsucie..." I w to „obyczajów zepsucie" z całą potęgą swego talentu uderzył Krasicki.

W swej niezmiernie żywej działalności pisarskiej, „walcząc o wyższą formę kultury polskiej", (jak mówi prof. Kazimierz Król), Krasicki, ośmieszając i rozbijając różne dobrze zadomowione przywary i narowy szlacheckie — nie mógł wśród nich nie zauważyć jednej z najgorszych i najniebezpieczniejszych — pijaństwa.

To też od zarania swej twórczości literackiej Krasicki prowadził nieustanną walkę z tą klęską.

Zgodnie z panującymi poglądami wieku, Krasicki był przeciwnikiem „pijaństwa", a zwolennikiem umiarkowania; ale siła i konsekwencja uderzeń jego w twierdzę pijaństwa były tak wielkie, że przyczynił się on w sposób poważny do znacznego opamiętania w dziedzinie obyczajowości pijackiej.

Już w „Myszeidzie" — pierwszym oddzielnie drukowanym utworze — Krasicki z dużą energją uderzył w pijaństwo — potem przyszły inne utwory, w których Autor zawsze niemal nie omieszkał zwrócić uwagę na klęskę pijaństwa.

Najsilniejszem uderzeniem była „Monachomachja" — wspaniałe, o karykaturalnem zacięciu, obrazy obyczajów pijackich...

Jak dalece Krasicki był wrogiem pijaństwa, świadczy fakt, że nie tylko w tworach swej poezji satyrycznej dużo mu stałej uwagi poświęcił, ale i w takim dziele, jak „Pan Podstoli", również silnie przeciw powszechnemu alkoholizmowi wystąpił.

Krasicki był jednym z tych nielicznych pisarzy polskich, który w swej działalności artystycznej i obywatelskiej z całą świadomością, celowo, stale, z dużą dozą odwagi cywilnej, a chwilami z rzadko spotykaną u niego siłą i jędrnością słowa, wytykał swoim współczesnym wszystkie złe strony i ohydę pijaństwa.

W obchodzie więc jubileuszowym tego niezdetronizowanego dotychczas księcia poetów polskich, tego świetnego pisarza, talentu wiel-

kiego, umysłu europejskiego — polscy działacze przeciwalkoholowi biorą żywy i gorący udział — składając wyrazy uczucia hołdu i czci pamięci poety, który już przed 170 laty wypowiedział tak nieubłaganą walkę powszechnemu obyczajowi pijackiemu.

Jan Szymański.

MŁODZIEŻ SZKOLNA A ALKOHOL.

Oddawna walczy się z niezmiernie rozpowszechnionym alkoholizmem w szkołach średnich przez urządzanie odpowiednich pogadanek, mówiących o zgubnym wpływie alkoholu na umysłowość człowieka, przedstawia się wykresy, obrazujące otępienie umysłowe młodzieży, pijącej wódkę, przeciwstawiając polot umysłowy tych, którzy są abstynentami i wreszcie wyświetla się przeźrocza, pokazując zniszczenie, jakie stwarza wódka w organiźmie ludzkim: wątrobie, sercu i t. d.

Organizowanie takich pogadanek jest jedyną dostępną dla wychowawcy walką z pijaństwem wśród wychowanków. Lecz, trzeba przyznać, że walka ta, bardzo notabene wytężona, daje minimalne rezultaty. Najwydatniejszą walkę z narkomanją w szkole byłaby walka przeprowadzona przez samych uczniów wśród swych kolegów. Ale sprawa ta natrafia na poważne trudności. Znane jest bowiem zapatrywanie większości młodzieży szkolnej, że niepicie wódki, unikanie wszelkiego rodzaju „pijatyk“ — to niedorosłość, to jeszcze niemowlęctwo. Uczeń, nieuważający picia wódki za pierwszą i największą przyjemność życia, staje się bardzo często ofiarą przycinków, dowcipów i śmiechów, odwrotnie zaś, pijak uważany bywa za najbardziej poważanego kolegę. Oczywiście są wyjątki, zdarza się, że ktoś może absolutnie wystrzegać się wódki, nie uznawać „popijanek sztubackich“, a jednocześnie mieć prestiż u swych współkolegów. Lecz powtarzam, są to wyjątki, umysłowości nieprzeciętne, wzbudzające uszanowanie wśród uczniów przez swe zdolności, czy zamiłowania.

Życie w szkole przechodzi pod znakiem wódki. Wchodzi już w tradycję, że wszelkie egzaminy udane, czy nieudane „oblewa się“, t. zn., pewne grono uczniów opodatkowuje się na rzecz alkoholu po dwa, trzy, nieraz pięć złotych i urządza któregoś popołudnia niedzielnego orgję pijacką, godną raczej bezmyślnych, nie posiadających krzty inteligencji indywiduów, a nie, bądźcobądź ludzi, pretendujących do nazwy wykształconych. Zwykle zabawa kończy się tem, że któryś z uczestników bardziej się upije, przyczyniając się do ogólnej wesołości i śmiechów. W tak miłym nastroju mija godzina za godziną, by nazajutrz przyjemna rozrywka odmalowała się na twarzach uczestników libacji. Nie zniechęca to nikogo do alkoholu, przeciwnie, mówi się, że było „morowo“, że „NN. spił się tak, że aż dostał womitów“ i, że „trzeba raz jeszcze coś podobnego urządzić“. Próżnoby przekonywał ktokolwiek, że przecież nie może być nic przyjemnego w spędzaniu kilku godzin nad butelką wódki i słuchaniu (nieodzownych w tym wypadku) — najbardziej drastycznych dowcipów.

Aby odciągnąć młodzież od wódki, należałoby dać tej młodzieży inną rozrywkę, zainteresować ją czemś innem, piękniejszem i szlachetniejszem, może pracą społeczną... czemś, dla czego chętnie i z zapałem

pracowałaby, zapominając o alkoholu. Tak, ale cóż począć, gdy nawet podczas szkolnych, kilkugodzinnych wieczorków tanecznych odbywających się pod protektoratem dyrekcji szkoły, ukazuje się widmo wódki? Oto, najczęściej w ubikacji najmniej estetycznej, garstka wychowanków szkoły, sześciu, czy dziesięciu tych „najlepszych uczniów", odurza się alkoholem. Po wódce, młodocianym alkoholikom wydaje się, że zabawa nabiera większej przyjemności, że dopiero wówczas staje się zabawą par excellence!

Powracając jeszcze do sprawy zbierania pieniędzy na urządzanie zabaw pijackich, muszę zwrócić uwagę na ciekawy fakt, że na najbardziej pożyteczne cele szkolne nigdy uczniowie nie mają pieniędzy, zasłaniając się ubóstwem, trudnościami płatniczemi i t. p., jeżeli zaś chodzi o wódkę, pieniądze znajdą się zawsze...

Ostatecznie, w jaki sposób należałoby przeciwdziałać rozwielmożnionemu pijaństwu w szkole?

Powyżej rzuciłem myśl, aby opilstwo wśród młodzieży szkolnej zwalczała sama młodzież. Pomysł ten wydaje mi się dobry. Możnaby go zrealizować, stwarzając pod egidą wychowawcy klasowe kółka antyalkoholowe, przyczem dyrektorzy szkół nie powinni unosić się nieuzasadnioną ambicją i, twierdząc, że w ich szkole niema uczniów pijących wódkę — zamykać oczu na tę sprawę. Bezsprzecznie takie kółko antyalkoholowe w szkole, to niemal kompromitacja szkoły, ale — bądźmy odważni i złu spójrzmy wprost w oczy, wyzbywając się małostkowości i własnych korzyści. Chodzi tu przecież o pracę nad duszami przyszłych budowniczych Polski... Picie wódki w szkole jest objawem masowym, nie są to wypadki sporadyczne, zdarzające się jedynie w niektórych szkołach, każda szkoła, choćby nosząca markę „najlepszej" spewnością posiada garstkę uczniów, oddziaływującą ujemnie na całą gromadę.

Uważam, że myśl przeciwdziałania złu przez samych uczniów w kółkach antyalkoholowych przyjęłaby się, bo trzeba wiedzieć, że zasadniczo uczniowie rozumieją fatalne następstwa picia wódki, ale zapominają o nich łatwo i należy im to wciąż przypominać, uczyć, odwodzić od pijackich pomysłów, a przedewszystkiem, jak rzekłem, natchnąć nową ideą *).

Ale czy mimo nowych celów uczeń zapomni o alkoholu? Nasuwa się takie pytanie po tym długim wywodzie, pytanie, na które odpowiedź znaleźć będzie można jedynie w przyszłości... *Stefan Szempliński.*

PRZEZ PRYZMAT SĄDU **)

Karczma w Dembach Wielkich otoczona jest małym owocowym ogródkiem. Około rzadkiego parkanu stoi drewniana ławka. Tutaj spędza długie popołudnia stary Aron Miński, właściciel szynku, ogrodu i wielu leniwych godzin. Zapylona szosa dostarcza pokarmu godzinom,

*) Myśl ta jest już u nas oddawna realizowana; posiadamy szereg Kół Młodzieży abstynenckiej, wielu wybitnych pedagogów pracuje na tem polu jak np. Dyr. Br. Duchowicz, ks. M. Kuznowicz T. J., prof. M. Sygnarski i wielu innych. *(Przyp. Red.).*

**) Patrz „Trzeźwość" Nr. 3—4.

a karczmie klientów. Tędy idzie się do niedalekiego miasteczka, a Aron Miński wypełnia swoją codzienną bezczynność zdarzeniami i ludźmi, których prowadzi szosa.

Antoni Rykała mieszka na drugim końcu wsi. Jego żona u swoich rodziców, a obecnie w szpitalu. O chorobie Marji Rykałowej różnie mówiono. Powszechnie było wiadome, że u Rykałów niedobrze się dzieje. Żyją z sobą od 1920 roku, dzieci są, ale w ostatnich latach przywlokły się jakieś niezgody, niewiadomo skąd płynące. Niewiadomo też, czy Antoni Rykała z tych zgryzot domowych pić zaczął, czy były jakieś inne przyczyny, które pędziły go na drugi koniec wsi, do karczmy Arona Mińskiego. Tak samo trudno powiedzieć, kiedy to wszystko zaczęło się na dobre. Żyje się z sobą dziesięć lat, żyje się piętnaście, te same czynności czekają o tych samych porach dnia i niby wszystko jest tak, jak było dawniej, aż nagle człowiek widzi, że to wszystko jest zupełnie inaczej i, że tak dalej żyć — nie można.

Siostra Antoniego Rykały nie ma wyrozumienia dla Marji. Zawsze jakaś dziwna była, niezrozumiała. I jak to tak, męża zostawić? Że pije? Że lanie czasami spuści? Czy to ona jedna bicie dostawała? Poboli — przestanie, a od męża odejść — grzech i obraza boska. A z tą ostatnią chorobą? To przecie nieraz mówiła, że dzieci więcej nie chce mieć. Do baby jednej poszła i zepsuła, a potem do szpitala wzięli.

A jednak we wsi opowiadano o tem inaczej. Od pewnego czasu Antoni Rykała zaczął szpiegować żonę. Gdzie chodzi, z kim się widuje. Potem wytaczał przed nią jakieś zagmatwane sprawy, mówił o jakichś kochankach, którzy podobno do niej przychodzą i o tem, jak to on złapie ich wreszcie i wystrzela. A że z Marją mieszkał ojciec jej i dwaj bracia, Jakób i Jan, Antoni Rykała zaczął niechętnie na nich patrzeć, a później opowiadał w karczmie, przy ludziach, jakieś brudne, niesprawdzone historje. A gdy Marja zaszła w ciążę, bo nawet u rodziców nie miała przed nim spokoju, wyłoniła się kwestja, czyje też to dziecko będzie? „Pewno, że nie moje" — zwierzał się Rykała przygodnym kompanom, których dostarczała karczma Arona Mińskiego. W czasie takich rozmów padały groźby pod adresem Marji Rykałowej i dziecka, które dopiero miało się urodzić. Sens tych gróźb powtórzono później przed Sądem, a Aron Miński poświadczył, że sam dokładnie słyszał wykrzykiwania rozmaite i pogróżki, właśnie takie, o jakich mówią świadkowie.

Marja była zacięta i małomówna. Gdy zabierano ją do szpitala, nie powiedziała żadnego słowa, któreby choć w części zaspokoiło ogólną ciekawość. Nawet i doktorom nie powiedziała, jak to było z tem dzieckiem, którego nie donosiła i które potem kawałkami z niej wyciągano. Znaleźli się jednak tacy, co pod przysięgą w Sądzie zeznali, jak to wszystko było naprawdę. A to naprawdę ciężko oskarżało nieboszczyka Antoniego Rykałę.

Bo Antoni Rykała umarł w pięć dni po powrocie Marji ze szpitala. Nie umarł wprawdzie własną śmiercią, ale również trudno powiedzieć, żeby go zabito. Marja wróciła coś koło południa, a tego samego dnia wieczorem, niedaleko chaty Radzickich, ojców i braci Marji, znaleziono Antoniego Rykałę, pobitego, cuchnącego wódką i nieprzyto-

mnego zupełnie. Odniesiono go zaraz do mieszkania siostry i sprowadzono felczera z miasteczka, a potem babę-znachorkę. Zresztą, siostra sama znała się na jakichś domowych lekach i nie chciała brata wieźć do szpitala. Tak przeszło cztery dni na tem domowem leczeniu, a piątego, Antoni Rykała, w wielkiej gorączce i nieprzytomności zupełnej, życie zakończył. Po tej śmierci, Jana i Jakóba Radzickich odwieziono do więzienia śledczego.

Aron Miński owego pamiętnego dnia, tak bogatego w niecodzienne zdarzenia, siedział, jak zwykle, w swoim ogródku i patrzył na szosę. A więc najpierw, a było to koło południa, zobaczył Marję Rykałową wracającą z miasteczka. Dziwił się, że po tej chorobie, która trzymała ją parę tygodni w szpitalu, wraca sama, pieszo, wśród kleistego lipcowego gorąca. A to wracanie było jakoś okropnie powolne, okropnie chwiejne i niepewne, jakgdyby każdy krok miał być tym krokiem ostatnim, po którym dalej już iść nie można. Jednak Marja zginęła wreszcie zprzed oczu Mińskiego i widocznie doszła do domu, skoro w niedługim czasie pijący w karczmie ludzie zaczęli opowiadać o jakiemś niezwykłem biciu, którem Antoni Rykała powitał wracającą żonę. A potem, było to już pod wieczór, Jan i Jakób Radziccy przyszli do szynku po butelkę wódki. Dziwne to się wydawało Mińskiemu, bo wiedział, że chłopcy nie pili nigdy, że dobrze pracowali na ojcowem gospodarstwie, a tylko czasami z szwagrem do bójek dochodziło, gdy siostra ich, Marja, przychodziła skarżyć się na pijaństwo męża, na bicie, które dzień w dzień brała i na to, że nawet chleba w domu zabrakło, bo wszystko na wódkę idzie. A więcej Aron Miński nie wie, niczego nie widział, dopiero później ludzie mu o wszystkiem powiedzieli.

Marja Rykałowa niechętnie mówi o swojem nieszczęściu. Zacina się w twardej wrogości. Co to było, gdy wróciła ze szpitala? Czy spotkała męża przed domem rodziców? Tak, spotkała. I co potem? Co miało być, nic. Czy mąż bił świadka? Bił. Na pytanie prokuratora, czy żałuje męża, odpowiada: nie.

I żeby Wysoki Sąd wiedział — mówi Jakób Radzicki — jak to z tem dzieckiem zapsutem było i ze szpitalem i powrót jaki był! Ona w piątym miesiącu, siedzi, domu pilnuje, my na robocie, w polu. Przychodzimy raz pod wieczór, a tu już od furtki słychać jęczenie jakieś. My do chałupy, a tam Maryśka leży na podłodze, ręce do łóżka przywiązane, a pod nią to się ze dwie kwarty krwi zebrało. I tak chyba z parę godzin leżała, bo Rykała zaraz po naszem wyjściu przyszedł, Maryśkę związał i nogami ją po brzuchu deptał, że to niby nie jego bachora w sobie nosi i że to wstyd dla niego i hańba. I tak ją tam zostawił, a przedtem to jeszcze szmatką gębę zatkał, żeby krzyków słychać nie było. To ojciec ją do szpitala zawiózł, ale przywieźć to już jej spowrotem nie mógł, bo nie wiedział, kiedy wypiszą. I ledwo w dwa tygodnie stamtąd wróciła, zaraz się Rykała o tem wywiedział, do domu przyszedł i znowu bił, a my tośmy pracę wtedy mieli, na polu. I jakeśmy z pracy przyszli i Maryśkę zobaczyli, znowu pobitą, posiniaczoną i ledwo na nogach stojącą, to już niewiadomo było, co robić. Bo przedtem tośmy i na policję chodzili, ale tam pan przodownik powiedział, że nie ma takiego prawa, coby pozwalało pijaka zamknąć.

I wtedyśmy do Mińskiego poszli i butelkę wódki kupili, żeby się lżej w tem nieszczęściu zrobiło.

Oskarżeni, Jan i Jakób Radziccy, przyznają się do winy. Po wypiciu wódki długo kręcili się koło domu szwagra, żeby pomścić rodzinną krzywdę. Nie mogli się go doczekać. Dopiero wracając do siebie spotkali Antoniego Rykałę, pijanego jak zawsze, który myszkował coś niedaleko ich chałupy. To spotkanie zdecydowało o losie Antoniego Rykały.

Lekarz, powołany na rozprawę w charakterze biegłego, zeznaje, że na podstawie protokułu sekcji zwłok można przyjąć, że śmierć Antoniego Rykały nastąpiła wskutek infekcyjnego zapalenia opon mózgowych, które łączy się przyczynowo z urazami zadanemi pięścią w okolicę nosa, czoła i oczu. Wiele momentów przemawia za tem, że gdyby zapewniono denatowi należytą opiekę lekarską, zejście śmiertelne nie miałoby miejsca.

Po przemówieniach stron, Sąd Okręgowy skazał Jana i Jakóba Radzickich na dwa lata więzienia.

*

Tego samego dnia Sąd Okręgowy w Warszawie rozpatrzył sprawę dwudziestoletniego Kazimierza Mocholca, mieszkańca wsi Brzeżany, który dopuścił się zbrodni zabójstwa na osobie Chaima Prysznica, handlarza końmi.

Przewód sądowy ustalił dwa bardzo znamienne momenty. Po pierwsze okazało się, że oskarżony wogóle nie znał denata, po drugie, zeznania świadków zgodnie podkreślały fakt, że nóż, którym zadano Chaimowi Prysznicowi szereg ran kłutych w okolicę serca, był własnoręcznie wykonany przez Kazimierza Mocholca na kilka dni przed morderstwem, że oskarżony nóż ów stale nosił przy sobie w bocznej kieszeni marynarki i że kształt oraz sposób wykonania noża czyniły go zupełnie nieużytecznym do jakichkolwiek czynności, poza zadawaniem ran kłutych.

Kazimierz Mocholc nie był dotąd karany sądownie, ale komendant posterunku P. P. w Brzeżanach zeznaje, że należał do typów awanturniczych i że w wiosce nie cieszył się dobrą opinją. Wódkę pił jedynie „przy okazji“ gdy mu ktoś „postawił“, ale już niewielka dawka alkoholu wprowadzała go w stan silnego odurzenia i prowokowała do agresywnych i przedmiotowo nie dających się umotywować wystąpień.

W dniu, w którym Chaim Prysznic zakończył życie, odbywała się w sąsiedniej wiosce zabawa taneczna, na którą wybrał się Kazimierz Mocholc z młodszym bratem Pawłem. Przed udaniem się w drogę — było to około godziny siódmej wieczorem — wstąpili do szynku w Brzeżanach, gdzie wypili pół butelki wódki. Świadkowie zeznają, że byli w doskonałym humorze, zaczepiali przechodzących ludzi w sposób raczej dobroduszny, „przygadywali“ dziewczętom, jednem słowem robili wrażenie „normalnie“ zawianych młodzieńców, których czekają miłe przeżycia na zabawie tanecznej.

Zaraz za Brzeżanami, drogę, którą szli Mocholcowie, obejmuje wysokopienny sosnowy las. Na skraju lasu, przylegając bezpośrednio do szosy, leży małe półko Mateusza Godziemby. Mateusz Godziemba

ukończył właśnie wiosenną orkę i miał zamiar wracać do domu. Zeznaje, że przechodzący obok niego Mocholcowie prosili go o podwiezienie do sąsiedniej wioski. Naturalnie odmówił, a teraz tłumaczy Sądowi: :„Zaraz wiedziałem, że to nic dobrego z tych dwóch nie będzie, bo to głupie tylko mogą myśleć, że konia dam, jak się cały dzień narobił".

W tym samym czasie Chaim Prysznic szedł w stronę Brzeżan. Chaim był spokojnym handlarzem koni, myślał tylko o interesach, przez ludność okoliczną był lubiany i ceniony dla zgodnego usposobienia i wielkiej uczciwości, która u ludzi jego fachu jest cnotą rzadko spotykaną. Miał w Brzeżanach do załatwienia jakieś końskie sprawy i — jak zeznaje jego żona — z Mocholcami nie tylko nie prowadził żadnych handlowych interesów, ale wogóle ich nie znał.

Jakie pobudki określają przyczynowo czyn występny Kazimierza Mocholca? Jaka w tem wszystkiem była rola jego brata? Tego przewód sądowy nie może ustalić. Oskarżony wyjaśnia, że niechcący potrącił Chaima Prysznica, a ten zaczął go bić laską. Okazuje się jednak, że Chaim Prysznic nie miał wogóle laski, że właśnie tego dnia zostawił zwykle przez siebie używaną laskę w domu, co stwierdzają świadkowie. Zresztą, przy zwłokach nie znaleziono nie tylko laski, ale żadnego takiego przedmiotu, który mógłby służyć jako narzędzie czynów agresywnych. A skąd oskarżony miał nóż? I jeżeli sam sobie ten nóż zrobił, to dlaczego takiego dziwnego kształtu? Kazimierz Mocholc odpowiada, że od tego jest kowalem, żeby robić rozmaite rzeczy z żelaza i że taki kształt noża specjalnie mu się podobał. Na pytanie, dlaczego nóż nosił przy sobie, odpowiada: tak mi się chciało. A dalej mówi, że owszem, uderzył nożem, ale zaraz zaczął uciekać, bojąc się, że Chaim Prysznic dogoni go i zabije. (Lekarskie oględziny zwłok stwierdziły, że z siedmiu głębokich pchnięć nożem część musiała być zadana denatowi, gdy ten leżał na ziemi i że śmierć nastąpiła niemal momentalnie). A Paweł Mocholc? Jego zeznania, które składał, mimo przysługującego mu prawa odmówienia zeznań, nie wniosły nic pozytywnego do sprawy. Stwierdziły tylko ponad wszelką wątpliwość, że nie starał się przeszkodzić zbrodni. Momentów obciążających brata nie pamięta, wogóle mało pamięta, gdyż, jak zeznaje, był zupełnie pijany.

Zeznania oskarżonego robią dziwne wrażenie. Widać odrazu, że kompletnie nie orjentuje się w ich oczywistej sprzeczności z tem, co ponad wszelką wątpliwość ustalił przewód sądowy. Sprawia wrażenie człowieka, który nie potrafi wczuć się w sytuację, dla którego wszystko, co się naokoło niego dzieje, cała rozprawa, w której gra rolę oskarżonego, jest czemś zupełnie obojętnem, czemś, co nie wywołuje najmniejszej uczuciowej reakcji. Ani na chwilę nie wychodzi z nastroju zupełnej obojętności, jest jednostajny, stereotypowy, nie okazuje zainteresowania przebiegiem procesu. Zeznaje z wysiłkiem, tak, jakgdyby nie mówił o rzeczywistem zdarzeniu, jakby w trakcie przesłuchiwania stwarzał fikcyjne sytuacje, niby człowiek, który wierzy w popełnienie przez siebie wmówionego sobie czynu i który konfabuluje jego nierzeczywisty przebieg.

Kazimierza Mocholca aresztowano w trzy godziny po popełnie-

niu zbrodni na zabawie w Nowosiółkach. W chwili, gdy policja weszła na salę, tańczył. Był wesoły i zupełnie pijany.

Sąd Okręgowy skazał Kazimierza Mocholca na osiem lat więzienia.

Michał Klimowicz.

SZALONY KURS.

Kolenda ściąga mocno lejce zniecierpliwionych koni. Jak zwykle w chwili ostatniej — znalazła dziedziczka mnóstwo nieprzewidzianych, a koniecznych zajęć. Z małego, zakratowanego okienka śpiżarni słychać podniesione głosy. Pośpieszne dyspozycje obiadowe. I jeszcze:

— Stasiu, nie chodź do młockarni! Niech Frania narwie malin na soki! Daj pokój, Tadek, raz już mówiłam, że nie pojedziesz ze mną!

A później, z otwartej sieni rozlega się litanja życzeń, mówiona przez kilka cienkich głosików, przyczem pani bardzo rozsądnie wchodzi w rolę świętej: nie korzystając z przywileju zwodzącego milczenia, odrazu odrzuca niektóre prośby i karze klapsem zbytnią natarczywość petentów. System taki, zastosowany w niebiosach, wydatnieby zmniejszył ilość naszych dewotek... Czasem, wbrew przysłowiu, dobry przykład może iść niekoniecznie zgóry...

Kolenda, daleki od płytko-filozoficznych myśli, zajmuje się jedynie zewnętrzną stroną zdarzeń. Mruczy ze złością... Swoją babę umiałby przynaglić do pośpiechu! Ciemięga ten dziedzic: nibyto zły, burczy zawsze, a pani nic sobie z tego nie robi. Wyjedzie późno do miasteczka i potem konie każe poganiać. Zdążyć na obiad chce — mówi. Taka ci prędka!

Dwie klacze cugowe, tłusta Finka i podobna do niej żydówka, pracowicie marnują potrzebne za chwilę siły — wygrzebywaniem dziur w żwirku podjazdu. Stanął zdala od ganku, aby przed nim alei nie popsuły.

Nareszcie wychodzi z domu niezwykłej objętości postać, w nałożonym na kostjum workowatym kitlu, za nią zaś Weronka dźwiga całą serję derek, potrzebnych jakoby do podróży. Konie, muśnięte batem, szarpnęły nagle — o mało nie stracił równowagi... Choroby!...

Z przekleństwem otwiera oczy. Cieniste drzewa zastępuje szara martwota kamienic; przed sobą — zamiast zadów, połyskliwych tłustością, widzi kabłąki wystających smutno żeber. To krótki sen Kolendy przerwała szkapa, ruszywszy na zwolnione, pierwsze miejsce kolejki, w całem zrozumieniu tak ważnego awansu. Ogon ma obcięty po cugowemu — echo przeszłości właściciela, grzywa stoi szczotką na opuszczonej szyi, ochwacone nogi zgięte w kolanach ruchem zwierzęcia, które cud podziwia, cud — może własnego istnienia, tolerowanego łaskawie obok szybkich taksówek.

Złazi teraz Kolenda po obręczy koła do gwarzącej ospale grupy swych kolegów. Rozprostować pragnie zdrętwiałe plecy. Leniwo przesuwa się ciemny, długi różaniec czekających pojazdów, mogą dorożkarze rozmawiać dowoli, trudniej o chleb, niż o słowa. Numerki na plecach nasuwają myśl o tabliczkach na okazach muzealnych — takiemi

zresztą zostaną niedługo. Poglądy ich na zawikłane sprawy dzisiejszego świata zamykają się w niechęci do wszelkich rzeczy nowych, usymbolizowanych konkurencyjną taksówką. Postęp i wiedza, niby jej oślepiające reflektory — przyniosły im tylko zagładę. Że właściciel maszyny posiada również prawo do zarobku — to nie gra roli w ich rozumowaniu: przyszedł później, oni więc są pokrzywdzeni...

— Kolenda, stangretowaliście znowu, kiwnęliście się zdrowo — zagaduje niski człowieczek o wygiętych w pałąk plecach.

— Dajcie pokój... głupie żarty! — mruczy zły, mając jeszcze w oczach śnioną przed chwilą przeszłość. Dawne oczekiwanie na powolną dziedziczkę—jakże miłe wobec niezmiernie długich godzin stania w kolejce.

— Pyrkowi, wiecie, córka przybyła, jakby dziewuch było niedosyć. Gdyby to na was przyszło—kantyczka pasowałaby do niej—żartuje mała figurka. — Dobre to wasze nazwisko, napiwki pewnieście zawsze grube brali, jakżeby — sama kolenda...

— Szczęśliwy ojciec na chrzcinach paru nam kieliszków nie poskąpi — dorzuca inny. — I wy, Kolendo, użyjecie...

— Gdzie zaś, szczęśliwy! — przerywa Kolenda ze złością. — Nowego robaka tylko zaleje chyba z nami.

— Wszystko jedno, wódka taksamo smaczna, a wy na poczęstunek najwięcej już łasi!

— Nikt ta nie powie o mnie, że na gorzałę swój grosz tracę. Trafi się okazyja, to i skorzystać nie wadzi.

— A że słabą głowę macie, to i rozbijecie ją kiedy o bruk za darmochę...

— Wam do tego zasie! — Darmochy żałować nie trza, gdy nie stawiacie sami!

Uderza Kolendę ktoś w plecy:

— Ślepiście, czy co, dyć pasażer do waszej wchodzi...

Obraca się prędko, parę kroków oblepiających kapotą dziurawe buty. — O rety, dziedzic! — Chce się pochylić dawnym zwyczajem do obładowanej paczkami ręki.

— Zgłupieliście, tu nie Kąty! — I za chwilę łaskawe złagodzenie słów przykrych:: — Co słychać u was, Jędrzeju? jakże zarobki? kobieta zdrowa? — pyta, a już spogląda na zegarek, wyciągnięty z kieszeni.

Kolenda to widzi, czuje obojętność dawnego pana. Nigdy on nie był słodki, ale teraz, gdy jego osoba uprzytamnia staremu żałowaną zawsze przeszłość, szorstkość bardziej daje się odczuwać.

— Pan dziedzic skąd? — zapytuje lękliwie.

— Parę godzin od miasta, nieduża dzierżawa, później wam opowiem. Mam do załatwienia spraw kilka, będziecie jeździć ze mną. No, prędko! — rzuca adres dosyć dalekiej ulicy.

Kolenda gramoli się na kozioł. Poczekawszy chwilę na otwarcie przed sobą ruchu, podcina konia. Ogłupiała długiem staniem szkapa skręca w lewo, później — w prawo, ledwie nie uderzywszy jakiejś pani, rozgadanej na brzegu chodnika, wreszcie — tknięta genjalną myślą, rusza wprost przed siebie. Ostrożne przejechanie szyn obok groźnego policjanta i kopyta kłapią monotonnym rytmem po gładkiej kostce uli-

cy. Jędrzej odruchowo zwraca się konfidencjonalnym półobrotem do siedzącego za nim mężczyzny, ale ostry sygnał wymijanej taksówki przypomina mu rzeczywistość.

Jest markotny. Wiadomo — różnica duża między nimi była, dziedzic i on — małe kółeczko pracowitej maszyny, ale inaczej sobie możliwe spotkanie wyobrażał... Chwilę zajmuje go wyłącznie trudny problem przejechania między dążącym w tym samym kierunku tramwajem, a ciężko naładowaną platformą. Mignęły w oknach barwne plamy kobiecych sukien, jaskrawo umalowane usta... Do razów bata dodaje teraz zachęcające szarpanie luźno puszczonych i znowu ściąganych lejc. Jeszcze boczna, cicha ulica i staje przed wielkim, reprezentacyjnym gmachem. Pan wysiada, zostawiając na opiece Jędrzeja kopiec rozmaitych paczek.

Pilnuje... jak dawniej. Znosili państwo podobne zawiniątka do bryczki, gdy stała w miasteczku z boku małego rynku. Umieszczał je wtedy głęboko pod siedzeniem, w nasłanej grubo słomie, a później, przed dworem, wkładał ostrożnie do gniazda szeroko rozpostartego fartucha Weronki. Spogląda na nogi: brak przy nich ogromnej butli nafty, chronionej grubą plecionką...

Lubił wyjazdy, zwłaszcza te po gości na stację, coś tam skapnęło i odpoczynek miał od pracy w polu. Nie był stangretem od parady, i on i cugowe konie narówni z fornalskiemi zajęte były. Dzisiaj podłe, choć próżniacze życie, ciężkie wystawanie na dworze niezależnie od pogody. Gdy wypędził dziedzica kryzys z majątku. Kolenda od zniedołężniałego krewniaka dorożkę kupił. Pięć lat... A teraz tam żniwa. Ma jeszcze w oczach niską linijkę i klnącego na niej dziedzica w białej kurtce z surówki.

Oto i on wychodzi z mrocznej bramy. Mało się zmienił. Na ogorzałej, spoconej twarzy ta sama pewność siebie, jaką daje stanie na czele pracowników, nieswojego chociażby majątku. Dobrze poszła sprawa. Rozjaśnione oblicze zaszczyca Jędrzeja łaskawszem spojrzeniem.

— Szkoda — odzywa się krótko — że folwark objąłem z całym kompletem służby. Dla was mogłoby znaleźć się miejsce...

Chęć ofiarowania Kolendzie rzeczy nieistniejącej nie budzi w tej chwili krytycyzmu chłopa, same przyjazne odezwanie jest miłe...

— Ale konie cugowe tam liche, nie to, co były wasze klacze, wogóle inwentarz kiepski... No, a teraz zawieźcie do jakiego szynku, parę rzeczy kupię i wam wódkę postawię.

Po chwili łyka Kolenda kieliszek za kieliszkiem, zagryzając suto kiełbasą. Korzysta z hojności pańskiej, nie żałuje sobie, to też wyszedłszy na ulicę widzi świat w innych, weselszych już kolorach. Bliskie zachodowi słońce schowało się dawno za dachy kamienic, ale Kolendzie ulica jest ogromnie jasną. Uśmiechnięta błogo, zbyt rozczerwieniona twarz zwraca uwagę wsiadającego do dorożki pana.

— Golnęliście za dużo. Żeby z policją kłopotu nie było!

— Gdzieżtam, panie dziedzicu, goronc uderzył mi do głowy, upał straszeczny.

Nastrojony przyjaźnie ma chęć odświeżyć wspólne wspomnienia w pogawędce ze swym pasażerem: — Bo to pan dziedzic mówił, że opo-

wie, może... więc... — bąka niezdarnie. Niecierpliwe skinienie ręki zamyka staremu usta.

— Kiedyindziej, niema czasu, pociąg odchodzi niedługo!

Ostatni kurs. Ma jechać na daleki dworzec. Znarowiona szkapa zaczyna biec truchcikiem, wreszcie — dobrze zdzielona batem, rusza krótkim, zabawnym galopem rozbrykanej krowy. Jędrzej się zawziął: już on jej pokaże, jak należy wozić pana! To nie babcia — jadąca z wnuczętami na spacer, albo młoda para, która właśnie dla powolności dorożkę bierze. Głęboka perspektywa, otoczonej drzewami szerokiej jezdni, mały ruch, o tej porze tu panujący, rozrzewnia Kolendę. Mgłą wieczoru zasnuta ulica akurat, jak szosa wygląda, taksamo objęta ze stron obu szeregami szumiących olbrzymów. Widzi znów przed sobą ulubione konie, podcina je ochoczo. Szkapa, oburzona niesprawiedliwą porcją razów, skręca złośliwie na chodnik i tem — otrzeźwia Kolendę chwilowo.

Prostując końskie ścieżki batem, życzy szkapie rychłej śmierci, co dowodzi zupełnego braku egoizmu w jego charakterze: wszakże własnej straty nie bierze całkiem pod uwagę... Koń, poskromiony znowu, wpada w regularny, wyciągnięty kłus, i odtąd jazda zapowiada się wspaniale. Z pomocą boską, wspomaganą instyktem samozachowawczym ludzkim, mijają w paru miejscach publiczność, wsiadającą do tramwajów, rozpryskującą się, niby woda uderzona kamieniem. Parę gniewnych okrzyków wywołuje zdziwienie dziedzica: rzecz przecież zwykła, że człowiek na jezdni koniowi ustąpić musi... Była wprawdzie chwila, gdy tempo dosyć osobliwem mu się wydało, ale, przyzwyczajony na wsi do jazdy szybkiej, w dodatku zapadający w półsen po dniu męczącym, przestał zwracać uwagę na wyczyny byłego stangreta.

Pędzi więc Kolenda szkapę, upaja zamroczony umysł złudzeniem podróży dawnemi, ostremi końmi... Nie było jeszcze większej, zatłoczonej przecznicy, jadą teraz długą, coraz ruchliwszą arterją. Wspomagany wieloletnią rutyną, wymija wozy, prawie otarłszy się o ich osie, lub najeżdżając na nieustępującą z drogi dorożkę, zawiesza na chwilę łeb konia nad głowami przerażonych pasażerów. Chwilami ma chęć zdzielić batem biegnących jezdnią przechodniów, jak to czynił dawniej z żydkami małego miasteczka. Samochody, dorożki i tramwaje zlewają się w głębi długiej ulicy w gąszcz nieprzenikniony, niby drzewa w bezdrożnym lesie. Kolendę lęk ogarnia. Czy da sobie radę? W mroku, który już błyska światłami reklam, dziwnie nie widzą oczy...

Nieostrożny ruch lejc nagle unieruchamia jeden z rzemieni: zbyt luźno spuszczony — dostał się pod ogon koński. W zwykłym stanie umysłu wiedział Kolenda doskonale, co w danym wypadku czynić należy: poprostu czekać i skorzystać dopiero z dobrowolnego machnięcia ogonem dla wydostania lejca. Ale teraz — wzięła go złość! Nie bacząc na możliwe skutki podobnego zuchwalstwa, chce opanować konia. Szarpnął rzemień — koń z całą stanowczością wypuścić go nie chce, przyciska, niby niezaprzeczoną własność... Jednak szkapa była nerwowa, dowiodła tego po drugiej próbie: zareagowała wierzgnięciem, a potem — puszczeniem się pełnym galopem, z lekceważeniem wszelkich przepisów ruchu kołowego...

Uderzony w kark przez klnącego dziedzica, Kolenda zapóźno zro-

zumiał fałszywość zastosowanej względem zwierzęcia taktyki. Ściągnąć lejców nie mógł: koń, skręciwszy wbok, wpadłby jedynie do jakiegoś sklepu, bynajmniej nie przestrzegając konieczności otwarcia wpierw drzwi przed sobą... Następne wypadki odbyły się w tempie przyśpieszonem. Kobyła, nie reagując złośliwie na zwykle upragnione „prrr...", bez zwrócenia uwagi na umundurowaną władzę, która akurat w przecznicy otworzyła ruch przecinający jej drogę, leci wprost na „tabu", omijane przez wszystkich starannie.

I — stało się... Dorożka została uderzona z lewej strony przodem śmiertelnego wroga - samochodu, przyczem Kolenda, według wszelkich reguł fizyki, zakreśliwszy łagodny łuk w powietrzu, wylądował — lotem bynajmniej nie ślizgowym, jezdnia bowiem była djabelnie sucha, na wypadkowej ruchu dorożki i samochodu. Niestety! małe wykształcenie nie pozwoliło mu podziwiać uplastycznienia swoją osobą praw nauki... Rzecz dziwna: siedział, a część ciała do tego służąca wstać mu jakoś nie pozwoliła, choć nogi całe były i pięknie prezentowały zbiegowisku rozdziawione paszcze butów. Otoczyła go gromada przechodniów, nakształt much, obsiadłych plaster miodu... Niezbyt już przytomnego Kolendę uderzenie o bruk chwilowo zamroczyło, przymknął mgłą wódki zasnute oczy, kiwnął się mocno...

— Zemdlał! — krzyknęła najbliższa baba — Jezusie! pewnie mu kulasy przetrąciło, tak je prosto trzyma...

Druga, nie zauważywszy braku logiki w takiem rozumowaniu, powtórzyła je za nią stojącym, do tego w zmienionej redakcji. Reporter, biegnący do grupy ludzi, jak pies do smakowitej kości, usłyszał już o wypłynięciu mózgu, oberwanej razem z butem nodze, tudzież o uszkodzeniach, nie nadających się wogóle do powtórzenia. Druga, szumiąca radośnie grupa otoczyła samochód i dorożkę, przyczem ta ostatnia została wynagrodzona bogato za okazywane jej przez publiczność lekceważenie. Bo już nie była zwykła, ani bardzo zniszczona, ani nowiutka, ani taka — średnia, tylko poprostu — rozbita... Wielkie słowo! Człowiek, zwierzę, sprzęt — wtedy nagle zaczyna interesować otoczenie, nakształt lalki, której mały chłopczyk ciekawie wydłubuje z brzucha trociny...

Dziedzic, wyrzucony z dorożki nieco dalej, umazany kremem ciastek, rozgniecionych dokładnie, ze wściekłością oraz z pozbieranemi z jezdni paczkami, zniknął, klnąc i stękając za kordonem gapiów. W poprzek połamanych dyszli stała biedna szkapa z okrwawionym bokiem i podkurczoną boleśnie nogą tylną. Obok niej leżały lejce, które jednak z pod ogona w chwili wypadku puściła... Niestety! ustępstwo to nie na wiele się przydało...

Do zepsutego samochodu przyprzęgano sprowadzonego skądciś konia, na co z rzetelnem zadowoleniem patrzało paru uśmiechniętych złośliwie dorożkarzy.

Biedny Kolenda spadł nietylko z kozła! Z nieba rozkosznych złudzeń strącił go wypadek w samo piekło rzeczywistości... Wprawdzie nie zdawał sobie jeszcze sprawy ze straty połamanej dorożki, ponieważ chwilowo nietyle odczuł grom nieszczęścia, co mocne szturchnięcie, rozmawiającego z nim policjanta... Chociaż „rozmowa" ta nie wyjaśniła władzy powodów dzikiego galopu szkapy, to jednak brak elokwencji,

splątanego spirytusem języka został doskonale zastąpiony... przez aromatyczny oddech Kolendy.

Jęczącego chłopa zaprowadzono do komisarjatu, improwizując tem samem mały pochód przez ulice miasta. Samarytański uczynek zapewnienia biedakowi dachu nad głową — połączył się z użyciem pewnego zabiegu, o wypróbowanem pedagogicznie znaczeniu, poczem delikwent został sam w małym pokoiku. Posadzono go na ławce: fakt ten równał się wymyślnej torturze, zważywszy uszkodzenie zainteresowanej tą pozycją okolicy ciała, więc Kolenda, szukając ulgi, spadł wkrótce na podłogę, gdzie momentalnie zasnął.

Zapadła noc. Wątły promień księżyca oświetlił twarz leżącego w areszcie człowieka. Uśmiech ma Kolenda na ustach. Śni mu się dawna bitka z parobkami, zaczepiającymi jego narzeczoną... Wybił im parę zębów, sam oberwał coniemiara, ale dziewuchę obronił. Stękając, przewraca na drugą stronę obolałe nieznośnie ciało...

Roma Luxówna.

Z PSYCHOLOGJI ŹRÓDEŁ ALKOHOLIZMU.

Mówiąc o tak obszernem i ważnem zagadnieniu, jakiem jest alkoholizm, muszę zastrzec się zgóry, że w tym krótkim artykule podam jedynie pewne ogólne spostrzeżenia, dobrze znane wszystkim specjalistom, ale posiadające ten szczególny walor, że w danym wypadku są one wynikiem osobistych doświadczeń, byłego alkoholika leczonego w specjalnym zakładzie Państwowym.

Mówiąc o alkoholizmie nałogowym, nie można nie wspomnieć o t. zw. alkoholizmie obyczajowym, który w naszem życiu społecznem odgrywa tak wielką rolę, a którego zgubne skutki nie są należycie oceniane. Trudno jest przeprowadzić jakąś graniczną linję, któraby oddzielała te dwie postaci alkoholizmu. Alkoholizm obyczajowy niepostrzeżenie przechodzi w alkoholizm nałogowy, człowiek, który wypijał dwa kieliszki wódki do obiadu, albo który od czasu do czasu popijał w gronie przyjaciół, uważając się za jednostkę zupełnie normalną, zaczyna stopniowo odczuwać tęsknotę za alkoholem, zrazu nieznaczną i maskującą się pod postacią lekkiego rozdrażnienia, które przechodzi po wypiciu pewnej dawki alkoholu, później zupełnie zdecydowaną, silną, niedającą się opanować i zmuszającą człowieka do ciągłego picia alkoholu w bardzo dużych ilościach. I teraz, jeżeli próby własnowolnego wyrzeczenia się alkoholu zawodzą, linja graniczna, dzieląca alkoholizm obyczajowy od nałogowego, zostaje przekroczona.

Stan psychiczny, który bezpośrednio prowadzi do przekroczenia linji granicznej, możnaby było określić jako niczem nieumotywowane podniecenie, wzmagające się coraz bardziej, które ma swoje źródło w najróżnorodniejszych wewnętrznych konfliktach i zewnętrznych niepowodzeniach, rzeczywistych albo urojonych, radosnych albo przygnębiających, a nawet w zupełnie zwykłych i osiągalnych pragnieniach, silnie zabarwionych uczuciowo. Dla łatwo pobudliwych osób podniecenie takie stwarza prawie z reguły w swojem szczytowem napięciu niebezpieczeństwo przekroczenia tej granicy.

Każdy alkoholik bywa wprowadzany w ową „strefę graniczną“ przez usłużnych przyjaciół, domowników i t. p. Dzięki zupełnej nieświadomości ogółu i najbliższych, tolerujących, a często nawet wzajemnie zachęcających się do spożywania trunków wyskokowych, każdy człowiek „normalny“ czy „nienormalny“, konstytucjonalnie zdrowy czy predysponowany, może — mojem zdaniem — popaść w nałogowy alkoholizm. Mamy ludzi o bardzo silnym charakterze, którym nie brak było ani starannego wychowania, ani powodzenia życiowego, ludzi odpornych na konflikty duchowe, którzy jednak popadli w ten straszny nałóg. Człowiekowi takiemu wydaje się rzeczą nie do wiary, żeby mógł ulec nałogowi, żeby nie mógł się oprzeć chęci wypicia kilku kieliszków alkoholu; zrozumienie tej smutnej prawdy, że istnieje granica, po przekroczeniu której najsilniejsza nawet wola nic nie poradzi, przychodzi — niestety — zbyt późno. Fatalny zwyczaj picia kilku kieliszków wódki przy załatwianiu interesów handlowych, „oblewanie“ pomyślnych tranzakcyj, czy jakichś innych szczęśliwych wydarzeń, to picie „przy okazji“, które stopniowo przekształca się w szukanie okazyj, prowadzi niepostrzeżenie i nieuchronnie do alkoholizmu nałogowego. Ten fatalny obyczaj, przekazany nam w spadku przez naszych przodków, uważam za główną przyczynę, szerzącego się w zastraszający sposób w naszem społeczeństwie, alkoholizmu.

Naturalnie, natury konstytucjonalnie skłonne do narkotyzowania się, milowemi krokami posuwają się po drodze, wiodącej do upadku, podczas gdy natury zdrowe mogą w pewnych granicach normować sobie dawki alkoholu i przez dłuższy czas trwać w stanie t. zw. „normalnego“ picia. Ale jednakże i na tych ludzi czeka pułapka. Ulegają bowiem bardzo często właśnie ci, którzy przeceniają swoje możliwości opanowania się, względnie ci, którzy w zupełnej nieświadomości lekceważą niebezpieczeństwo poddania się nałogowi. Ich energja i żywotność wyładowuje się wówczas w zgubnym kierunku. Tracą wolę, plują na wszystko, okazują zarozumiałą i śmieszną pewność siebie i ostatecznie nie mogą się wydobyć ze szponów nałogu, tak samo, jak i alkoholicy predysponowani. Różnica między nimi polega tylko—mojem zdaniem— na dłuższem pozostawaniu w strefie granicznej ludzi „zdrowych“, którzy są konstytucjonalnie bardziej odporni.

Mówiąc o ludziach „zdrowych i „predysponowanych“, należy dodać, że zarówno jedni jak i drudzy ulegają najrozmaitszym wpływom pobocznym, w stopniu określonym nie tylko ich strukturą duchową, ale i warunkami zewnętrznemi.

Jak wyżej powiedziałem, w stan podniecenia przedalkoholowego wpadają zwykle ludzie pobudliwi. Pobudliwość niekoniecznie musi się ujawniać nazewnątrz. Często bywa tłumiona i wtedy stwarza specjalnie groźne podłoże. Obecne życie dostarcza aż nazbyt wiele takich przeżyć i konfliktów, które bardzo łatwo mogą człowieka doprowadzić do stanu silnego podniecenia. Podniecenie stwarza stan napięcia umysłowego i fizycznego, sprowadzając sui generis niepokój. Stan taki, chociaż często tłumiony, dla bacznego i doświadczonego obserwatora jest prawie zawsze dostrzegalny. Lekarz zakładowy np., który każdego pacjenta zna lepiej od niego samego, otacza go wówczas specjalną opieką, mimo jego zapewnień o dobrem samopoczuciu. Bo ostatecznie, czuje się

on zupełnie dobrze w swoim — że się tak wyrażę — żywiole. Znajduje się w swoistej narkozie, przez którą głos rzeczywistości przemawia bardzo słabo. Częściej jednak jest spotykane podniecenie wywoływane przez depresję duchową, lub ból fizyczny. Taka depresja przytłacza człowieka, przykuwa do miejsca i podniecenie niejako „do podziemi" spycha, gdzie toczy się zacięta walka. Taki człowiek, zupełnie wytrącony z równowagi duchowej, potrzebuje pomocy lekarza, gdyż stan depresji trwać może bardzo długo, może chorego zupełnie wyczerpać i w końcu przerodzić się w stan jakoby chroniczny, w ciężką chorobę umysłową. Mojem zdaniem, te dwa rodzaje podnieceń, będące skutkiem doznań o charakterze euforycznym i depresywnym, są właściwe w pierwszym rzędzie alkoholikom konstytucjonalnie predysponowanym.

Przyczyny, które powodują owe stany podniecenia, tkwią głęboko w zakamarkach ludzkiego życia psychicznego. Człowiek chory czuje lęk przed autoanalizą, boi się spojrzeć okiem krytycznem w głąb siebie samego. W tej żmudnej pracy wyręczyć go musi lekarz specjalista, lekarz duszy. Jakąż kulturą, wiedzą, wyrozumiałością i cierpliwością musi być ów lekarz obdarzony, żeby tę zgubioną duszę oddać życiu!

Ciężko doświadczeni! Nie wątpcie o pomocy lekarza specjalisty, lekarza duszy, gdyż jego głębokie i współczujące zrozumienie zdolne jest was uzdrowić!

Jerzy Moraczewski.

DONIOSŁA UCHWAŁA.

Państwowa Naczelna Rada Zdrowia na posiedzeniu dn. 29.IV. 1935 uchwaliła *jednomyślnie* następujący wniosek, zgłoszony przez p. *Prof. Dr. Stanisława Ciechanowskiego:*

„Państwowa Naczelna Rada Zdrowia uchwala zwrócić się do Pana Ministra Opieki Społecznej z prośbą, aby Ministerstwo Opieki Społecznej zgłosiło na Radę Ministrów wniosek o reaktywowanie najważniejszych przepisów Ustawy Przeciwalkoholowej, zniesionych rozporządzeniem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 24 paźdz. 1934 r., a zwłaszcza w kierunku ponownego nadania gminom miejskim i wiejskim prawa uchwalania miejscowego zakazu, oraz w kierunku ograniczenia nadmiernej liczby koncesyj alkoholowych.

Państwowa Naczelna Rada Zdrowia uchwala powyższy wniosek w przekonaniu o konieczności ustawodawczego ograniczania alkoholizmu ze względów eugenicznych i państwowych".

ZJAZD DELEGATÓW KÓŁ T-WA „TRZEŹWOŚĆ"

(dn. 29 i 30 maja w Warszawie, Rynek St.-Miasta 38, I p., tel. 511—07).

P R O G R A M:

W e ś r o d ę, d n. 29.V. — o godz. 19.30 Zebranie Zapoznawcze uczestników Zjazdu i Otwarcie Wystawy Przeciwalkoholowej.

W e c z w a r t e k d n. 30.V. o godz. 9 nabożeństwo w kościele św. Krzyża przed głównym ołtarzem. Słowo od ołtarza wypowie ks. Prałat WINCENTY BALUL. O godz. 10.30 otwarcie Zjazdu. Zagajenie: Prezes Z. Gł. p. KAZIMIERZ KALINOWSKI, wybór Prezydjum Zjazdu, powitania. R e f e r a t y: p. DOC. DR.